

KAMENA

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 28.II.1967 Nr 4 (361) R. XXXIV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

Czy specjaliści zdolają udusić naukę?

ZDZISŁAW CACKOWSKI

Postawione w tytule pytanie jest — rzecz oczywista — prowokacją filozofa, który pretenduje do szerokiego widzenia świata, do widzenia „lasu” i zarzuca specjalistom, że widzą tylko „drzewa”. Ale i filozofia bez winy nie jest. Jej jednostronność też niejednokrotnie przebiegała miarę i groziła sprowadzeniem na manowce kultury naukowej; niejednokrotnie bowiem chciała ona widzieć las tam, gdzie w ogóle nie było drzew.

Stosunek jest powiedzenie B. Shaw, charakteryzujące specjalistę jako człowieka, który wie coraz więcej i coraz więcej o coraz mniejszej rzeczy tak, że w końcu już wie wszystko o... niczym. Wszakże i o filozofie można by powiedzieć coś równie zabawnego, a mianowicie — że jest człowiekiem, który wie o coraz większej i coraz większej liczbie rzeczy coraz mniej i coraz mniej tak, że w końcu wie o wszystkim... nic. Jaką konkluzję można stąd wysnuć? Jedyna chyba konkluzja — westchnienie, życzenie — oby żaden z tych panów nigdy swego absolutnego celu nie osiągnął! Gdyby bowiem to się stało, to teoretyk nauki stanąłby tym samym wobec trudności nie do rozwiązania: nie mógłby bowiem odróżnić specjalisty od filozofa; nie znam bowiem metody, która pozwala odróżnić wszelką wiedzę o niczym od zerowej wiedzy o wszystkim. A jakie poważne konkluzje z tej krótkowidli wysnuć można? Te chyba, że nauka jest gdzieś po środku między spełnioną czy zbliżającą się do absolutnego spełnienia specjalizacją a spełnionym „ideałem” filozoficznym. Nauka jest tam, gdzie między wiedzą konkretną (szczegółową) i wiedzą ogólną (teoretyczną) zachodzą dające się określić związki; tam zaś, gdzie teoria osiąga swą absolutną „czystość”, zaś specjalizacja staje się tak wąska, że traci związek z ujęciami całościowymi, teoretycznymi, tam już nauki nie ma.

Muszę jednak przyznać, że o tej filozoficznej chorobie wspominałem tylko tak sobie, dla równowagi i dla wykazania się pewną dozą krytycyzmu (samokrytycyzmu) wobec filozofii, aby przeciwdziałać ewentualnej rezerwie, jaką mój artykuł może wywołać ze strony właśnie specjalistów. Ta filozoficzna choroba bowiem jest dzisiaj względnie małym niebezpieczeństwem; kłóć bowiem czyta dzisiaj

rozprawy filozoficzne bez przemyślenia oka? Co innego nauki szczegółowe. One przecież dzisiaj decydują o kształcie kultury naukowej w ogóle, one też mają dzisiaj bardzo doniosłe znaczenie dla praktycznego życia społecznego. One wreszcie pędzą w zawrotnym tempie ku coraz węższej specjalizacji. A nie jest ta specjalizacja wymysłem uczonych; zdaje się ona być koniecznością obiektywną. Tą bezpośrednią przyczyną, zniewalającą uczonych do coraz węższej specjalizacji, jest zawrotny wzrost ilości informacji we współczesnej nauce. Ilość informacji, jaką dysponuje dzisiaj każda względnie samodzielna dyscyplina wiedzy, jest tak ogromna, że uczonego stoi wobec niej jak wobec oceanu. Zdaje się, że musi ten ocean opanować, aby mógł własną kroplę wody do niego dotrzeć, a przecież opanować go nie może. Dwie drogi zaradczą wyłoniły się w tej sytuacji, ale każda z nich obok zalet ma pewne wady, które z czasem mogą zupełnie przyćmić zalety. Pierwsza droga — to powołanie do życia literatury referatywnej, która w krótkich streszczeniach podaje zawartość nowych publikacji naukowych. Jednakże już dzisiaj liczba wydawnictw referatywnych zaczęła przekraczać możliwości czytelnice pojedynczego człowieka. Rozpoczyna się więc wydawanie referatów referatów — streszczeń drugiego stopnia. Ale na tym z całą pewnością nie koniec; grozi dalsza eskalacja literatury referatywnej, która przecież jest tylko namiastką literatury i nie może służyć jako autentyczne źródło wiedzy o nowych zjawiskach w nauce. Jest to droga prowadząca do absurdu i prędzej czy później będziemy musieli zrezygnować z dalszego jej rozwijania.

Drugi kierunek ratowania się przed nawalem informacji stanowi ucieczka w coraz węższą specjalizację. Jest to droga, na której człowiek

(Dokończenie na str. 8)



„Lubet”

Fot. A. Polakowski

Polska — ZSRR: współpraca przygraniczna

OBUSTRONNE KORZYŚCI

Rozmowa z I sekretarzem KW PZPR w Lublinie
Władysławem Kozdrą

„KAMENA”: Ostatnio odbyła się w Lublinie narada na wysokim szczeblu w sprawie współpracy przygranicznej wschodnich województw Polski i zachodnich obwodów Białoruskiej, Ukrainskiej, Liteńskiej SRR i Rosyjskiej FSRR. Dokonano oceny 10-letniego dorobku, podkreślając, że bezpośrednia wymiana doświadczeń przyniosła wiele pożytku stronie polskiej i stronie radzieckiej. Jak oceniacie udział Lubelszczyzny — mam na myśli dziedziny pracy partyjnej, gospodarczej, kulturalnej, młodzieżowej — w tym zakresie?

WL. KOZDRA: — Zapoczątkowana przed dziesięciu laty bezpośrednia współpraca przygraniczna województwa lubelskiego z obwodem brzeskim Białoruskiej Socjalistycznej

Republiki Radzieckiej oraz z obwodem wołyńskim Ukrainskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a w pińskich latach również z obwodem lwowskim USRR, miała różne formy rozwoju, charakteryzujące się odmiennością form kontaktów, wymiany doświadczeń i zakresu współdziałania.

W latach 1956—1958, które można określić jako wstępną fazę kontaktów, nie wykraczających poza spotkania przedstawicieli władz partyjnych i państwowych oraz przedstawicieli organizacji młodzieżowych, stworzone zostały warunki do nawiązania szerokiej wymiany z wielu dziedzin naszego życia społeczno-gospodarczego. W drugim etapie, w latach 1959—1962 wymieniano największą liczbę delegacji a zakres ich zainteresowań był niezwykle różnorodny.

Wprawdzie organizacja wymiany, zapewnienie możliwości merytorycznego poznania interesujących delegacje problemów nie zawsze nadszły za potrzebami, to jednak mimo takich czy innych usterek był to niezwykle ważny i owocny etap naszych kontaktów. Znaczne grupy ludzi z obu stron Bugu miały możliwość skonfrontowania swojej wiedzy o życiu sąsiadów z rzeczywistym obrazem tego życia, wzajemnego poznania swoich postaw i poglądów, namacalnego niemalże stwierdzenia ideowo-politycznej zgodności naszych dążeń i celów. Choć w tej formie wymiany nasze delegacje nie zawsze wracały z pełną informacją o pracy partii, organów władzy i społeczeństwa oraz sposobach rozwiązywania aktualnych proble-

(Dokończenie na str. 3)

Entuzjaści z Biłgoraja

ADAM JANUSZ BIEŃ

KILKANASIE lat temu odwiedził mnie brat. Popatrzył na to wszystko dookoła i mówi: „Władek, uciekaj stąd póki czas! Co tu będziesz robił w tym grajdole, w tej dziurze? Jedź ze mną!” — Pan Władek zapomniał o papierosie, który zgaś. Żywo gestykułując, wskazuje ręką okno. Tam za oknem leży rynek otoczony domami o świeżych tynkach, jest wielki gmach Prezydium i pomnik. — Tego tu jeszcze nie było — wyjaśnia. — To wszystko nowe. Wtedy była tu kupa gruzu i nic więcej. Mógł się człowiek przestraszyć... Brat chciał, żebyśmy wrócili, bo ja nie jestem stąd, proszę pana, ja z Gnieszna, ale zostałem...

— Żaluje pan??
— A czego mam żałować?... Ze zostałem? Nie! Przecież tu teraz całkiem ładnie — mówi pan Władek, spoglądając na rynek.

Są różne rynki w miasteczkach: z ratuszem na środku, ze studnią lub świętym Florianem, patronem strażaków. Zapomniałem zapytać pana Władka i zapomniałem zapytać innych, czy w Biłgoraju na rynku stał dawniej, jeszcze przed wojną, święty Florian, patron strażaków. Jeśli był to, niestety, niewiele pomógł. Spłonąłby chyba tak samo jak biłgorajski rynek.

W 1939 r. nadleśniczy Mueller oskarżony o kolaborację oświadczył, że jeżeli spadnie mu włos z głowy, miasto zostanie spalone. W trzy dni po rozstrzelaniu Muellera zaczął płonąć Biłgoraj. Nie miał go kto gasić, bo strażacy byli już na froncie. Nie miał kto szukać sprawców biłgorajskiego pożaru, bo wrześniowa pożoga ogarnęła już cały kraj. Ten wypadek, jak również późniejsze lata wojny, spowodowały prawie całkowite (83 proc.) zniszczenie miasta.

W 1944 r. Biłgoraj liczył niecałe 500 mieszkańców. Nie ma domów i mieszkań; ma jedynie wypalony rynek ze szkieletem ratusza. Władze administracyjne znajdują się w szkolnych gma-

chach. Ciasno. Trzeba zaczynać od nowa, trzeba budować.

W latach 1949—1951 powstają mieszkaniowe bloki na Prusach. W latach 1952—53 dzięki ofiarności miejscowego społeczeństwa zaczyna powstawać dom kultury. W 1956 — rynek. Dopiero w r. 1965 nowoczesny gmach Prezydium MRN, w którym mieści się również muzeum i biblioteka. I wreszcie w r. 1966 pomnik: wielki, żelazny, rzucający się z daleka w oczy. „Tu złożono urny z ziemią z miejsc walk i straceń: Porytowie Wzgórze, Osuchy, Margole, Górecko Kościelne, Szarajówka, Biłgoraj-Rapy, Sochy, Wołdy, Rotunda Zamość”. Tyle tablica. Mówi chyba wszystko i co najważniejsze: przypomina. Niektórzy twierdzą, że sam pomnik ma formę „pistoletu”, inni, że to lecały w powietrzu „pociąg”. Chociaż spierają się o formę, muszą zgodzić się w treści: to jest po prostu wojna, którą Biłgoraj zna aż za dobrze.

W biłgorajskim muzeum jedna z sal poświęcona zostanie ekspozycji obrazującej walkę z okupantem. Scenariusz wystawy opracowuje mec. Jerzy Markiewicz, którego publikacje książkowe ujawniają wciąż nowe szczegóły z tamtych wojennych lat. Pan mecenas jeździ po wioskach, rozmawia z ludźmi, szuka świadków i zaskiwa Biłgoraj swą pasję szperacza, ratując jednocześnie fakty, które mogłyby utonąć w ludzkiej niepamięci.

Druga sala muzeum zawierać będzie ekspozycję z dziedziny sztuki, którego tradycje sięgają w Biłgoraju kilkuset lat. Biłgorajskie sity wędrowały po całej Europie, trafiły nawet do Azji. Teraz tradycje dawnych rzemieślników podtrzymuje Sitarzka Spółdzielnia Pracy, w muzeum zaś sporo już interesujących i jedynek chyba w Polsce warsztatów wiosiankarskich i najrozmaitszych urządzeń pomocniczych, służących do wyrobów sít oraz wiosianki. Początki tego skromnego, lecz specyficznego muzeum dał pan Michał Pe-

(Ciąg dalszy na str. 4)

OBUSTRONNE KORZYŚCI

(Dokończenie ze str. 1)

mów gospodarczo - społecznych, to jednak przywoływały ze sobą niesłychanie bogaty ładunek przeżyć emocjonalnych, radosne stwierdzenie, że jesteśmy sobie bardzo bliscy i jeszcze bardziej podobni do siebie niż to sobie wyobrażamy.

Ponieważ obustronnie dążyliśmy do tego, aby wymiana i kontakty przygraniczne dostarczały nie tylko praktycznej emocjonalnej lecz również przede wszystkim wartości poznawczych, wprowadziliśmy w roku 1963 nowe zasady współpracy przygranicznej, które obowiązują do dzisiaj. Obecnie mniej wyjeżdża delegacji oficjalnych, wprowadziliśmy zorganizowane wyjazdy grup specjalistycznych oraz tak popularną formę wymiany turystycznej jak „autobusy przyjaźni”. Ujednolicono też i uporządkowano formalności związane z przekraczaniem granicy. Słowem więc — dzięki obustronnemu wysiłkowi — nasza wymiana przygraniczna nabrała cech strukturalnych, w pełni planowych i zorganizowanych, stała się integralnym działem całokształtu prac nad pogłębieniem ogólnonarodowej przyjaźni polsko - radzieckiej.

Nie sposób w krótkiej wypowiedzi zobrazować wszystkie formy współpracy przygranicznej, ich kierunki, przebieg i skutki polityczno-gospodarcze. Chciałbym jednak przynajmniej podkreślić najważniejsze, naszym zdaniem, aspekty ruchu przygranicznego.

Główną pozycją w bilansie wymiany przygranicznej woj. lubelskiego z obwodami brzeskim i wolińskim za okres dziesięciu lat, a trwającą do czasu, dopóki ona trwa, zajmują delegacje specjalistyczne działaczy gospodarczych, a wśród nich delegacje pracowników przemysłu i rolnictwa. Wymiana objęła wszystkie podstawowe gałęzie gospodarki Lubelszczyzny. W toku tych wyjazdów nawiązana została bezpośrednia współpraca wielu zakładów pracy, przedsiębiorstw w gospodarce społecznej i jednostek funkcjonalnych administracji gospodarczej i państwowej. Praktycznym jej wyrazem była na przykład wymiana dokumentacji technicznej na różne obiekty i urządzenia komunalne, wolińskich osiągnięć z zakresu organizacji wykonawstwa inwestycji wodno - melioracyjnych, brzeskich i wolińskich doświadczeń w dziedzinie mechanizacji prac polowych i metod zarządzania dużymi gospodarstwami rolnymi.

Sądzimy, że również nasi partnerzy z obwodów wolińskiego i brzeskiego wynieśli z Lubelszczyzny niejedno pomocne w ich pracy spostrzeżenie.

Dlatego też wymianę grup specjalistycznych naszej gospodarki uważamy nadal za najbardziej celową i pożyteczną formę współpracy przygranicznej i będziemy dążyć do rozszerzenia jej merytorycznego zakresu. Współpraca przygraniczna objęła szeroko zasadnicze dziedziny nauki, oświaty i kultury wnosząc do nich nowe treści i formy. Lubelskie środowisko naukowe utrzymywało i utrzymuje szerokie kontakty z Brześciem, Luckiem i Lwowem. Owocem tej współpracy jest m. in. wymiana informacji naukowych, wymiana wykładów, wzajemny udział w sesjach naukowych, wzajemna pomoc w opracowywaniu zagadnień naukowych oraz powołanie w roku 1963/64 Katedry Filologii Rosyjskiej na UMCS, która przez trzy lata organizowała, przebiegając w Lublinie, docent Ewelina Woźniak z Uniwersytetu im. Iwana Franki.

Wprost wyjątkową pozycję w wymianie przygranicznej zajmuje współpraca nauczycieli, administracji oświatowej, szkół, organizacji młodzieżowych i samej młodzieży. Wzrost form jest tu tak różnorodny, a kontakty tak trwałe i jednocześnie zmieniające się z upływem czasu, że przedstawienie dorobku w tej dziedzinie wymagałoby oddzielnego referatu. Powiem krótko, że działacze oświatowi, nauczyciele i aktywni organizatorzy młodzieżowych szeroko zapoznali się z osiągnięciami i doświadczeniami oświaty radzieckiej w dydaktyce pracy wychowawczej i organizatorskiej, że dobrze wykorzystują radzieckie doświadczenia w politechnice nauczania, że raz nawiązane kontakty kontynuowane są potem w drodze korespondencji, całych szkół, grup młodzieży i poszczególnych jednostek, spotkań okolicznościowych, wymiany informacji zawodowych, materiałów pomocniczych itp. aż do wspólnych wyjazdów młodzieży na wiecach, seminariach i konferencjach organizowanych w rejonach przygranicznych z okazji doniosłych wydarzeń politycznych lub ich rocznic.

Szeroko rozwinęła się współpraca kulturalna. Nasze teatry i zespoły artystyczne wyjeżdżały przeszło 20 razy do obwodów: wolińskiego, brzeskiego i lwowskiego, dając tam ponad 100 przedstawień i koncer-

tów. Gościliśmy również u siebie teatry ze Lwowa, Brześcia i Lucka, Filharmonię i Operę Lwowską, chóry i zespoły pieśni i tańca z wielu rejonów obwodu brzeskiego, wolińskiego i lwowskiego. Ekspowaliśmy w sąsiednich obwodach różne wystawy dokumentalne oraz sztuki ludowej i malarstwa, gościliśmy u siebie również wystawy o podobnym charakterze. Nasza wymiana kulturalna ma bodajże najszerszy zasięg, jeśli chodzi o dotarcie do społeczeństwa i spełnia jak najlepszą rolę w popularyzowaniu kultury i sztuki bratnich narodów ZSRR i Polski.

Z coraz większym powodzeniem i w coraz lepszej atmosferze realizujemy również nasze kontakty sportowe. Niezwykłą popularność zyskały sobie wszelkie formy wymiany turystycznej i masowych kontaktów ludności. Każdy „autobus przyjaźni” jest, w dosłownym znaczeniu tego określenia, zbiorowym ambasadorem serdecznych, przyjacielskich, bezpośrednich stosunków między ludźmi pracy województwa lubelskiego oraz obwodów brzeskiego i wolińskiego.



Szczególną formą naszych kontaktów są wspólne, masowe wystąpienia ludności rejonów i powiatów nadgranicznych, w których zwykle bierze udział po kilka tysięcy osób. Wiece te ugruntowały przekonanie szerokiej rzeszy ludności, że granica nie dzieli lecz łączy ludzi wspólnych idei i celów oraz, że może łączyć jeszcze lepiej i z większym pożytkiem dla wspólnej sprawy.

Rozwój bezpośrednich form współpracy przygranicznej otworzył również szerokie możliwości działania dla kół Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej. Nie potrzebuje dodawać, że uczestnicy przygranicznej wymiany są najlepszymi aktywistami TPP-R i że właśnie koła TPP-R umożliwiają im przekazywanie szerokim rzeszom społeczeństwa tych spostrzeżeń i doświadczeń, które zdobyli w czasie pobytu za Bugiem. A to dużo, to propaganda żywa, barwna, docierająca do rozumu i serca.

„KAMENA”: — Jak obecnie, po wspomnianej naradzie, rysują się perspektywy dalszej współpracy przygranicznej, czy obejmie ona i inne dziedziny?

WL. KOZDRA: — W czasie narady wspólnie z towarzyszącymi ze Związku Radzieckiego zastanawialiśmy się nad nowymi formami wymiany przygranicznej, które pozwolą mieszkańcom Ziemi Lubelskiej na możliwie najszersze nawiązywanie kontaktów. Chociaż ogólne kierunki i skład liczbowy wymiany osobowej utrzymuje się na poziomie lat ubiegłych, to jednak spodziewamy się osiągnąć jeszcze więcej niż dotychczas.

Rok bieżący, jak żaden inny, stwarza szerokie możliwości pogłębienia ideowo - politycznych treści naszej współpracy przygranicznej.

Obchodzimy w tym roku 25 rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej i 50 rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Niezależnie od ogólnonarodowych form obchodów 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i 25 rocznicy powstania PPR przygotowujemy się do możliwie najpełniejszego wykorzystania naszych regionalnych tradycji i możliwości związanych z tymi rocznicami.

Ukaza się w tym roku wydawnictwo poświęcone historii Rad Delegatów Robotniczych i Folwarcznych na Lubelszczyźnie, wspólnie z Obwodowym Komitetem KP Ukrainy w Lucku przygotowujemy wydawnictwo obrazujące wpływ Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej na społeczeństwo Włocławy i Lubelszczyzny oraz rozwój tych rejonów w latach władzy robotniczo - chłopskiej. Zamierzamy również zrealizować film o współpracy naszego wojewódz-

stwa z obwodami przygranicznymi. Nasi naukowcy, działacze partyjni i działacze kultury przygotowują się do udziału w sesjach naukowych poświęconych problematyce Października oraz problemowi polsko-radzieckiego braterstwa broni w okresie wojny z hitlerowskim najeźdźcą, opracowują programy wystaw, imprez oświatowo - politycznych, kampanii odczytowych, rajdów turystyczno - politycznych i innych form naukowego i emocjonalnie wiążącego popularyzowania wiedzy o wielkim dorobku Związku Radzieckiego i trudach osiągnięcia tego dorobku.

Chcemy wykorzystać te obchody dla ugruntowania wiedzy społecznej o naukowym socjalizmie, dla umocnienia tego już powszechnego przekonania, że nasze partyjne miejsce w walce o jedność międzynarodowego ruchu robotniczego, o czystość idei komunistycznych i zgodny z narodowymi interesami ludów świata sposób ich wcielania w życie jest i będzie przy boku pierwszego partii i pierwszego kraju zwycięskiego socjalizmu, przy boku KPZR. Jestem przekonany, że wszystkie formy naszych przygranicznych kontaktów i współpracy będą również dobrze tym ideowym celem służyć.

„KAMENA”: — Istnieje zrozumiałe podzielenie woj. lubelskie współpracuje z obwodami: brzeskim i luckim, woj. rzeszowskie z obwodem lwowskim. Czy jednak w konkretnych wypadkach nie można by wysłać przedstawicieli Lublina do Lwowa i odwrotnie? Współpraca Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej z Uniwersyteciem im. Iwana Franki we Lwowie wskazuje, że tego wspomnianego podziału nie należy traktować zbyt mechanicznie.

WL. KOZDRA: — Istotnie lubelski ośrodek naukowy — mimo poważnych osiągnięć w zakresie wymiany zagranicznej — ma ograniczone możliwości pełnego zaangażowania się w rozwijanie kontaktów przygranicznych z obwodem brzeskim i wolińskim ze względu na brak placówek naukowych o podobnym charakterze u naszych sąsiadów. Czynimy starania wspólnie z obwodem lwowskim o przywrócenie im niektórych dawnych kontaktów dla tych środowisk i to nie tylko jeśli chodzi o wymianę naukową, ale także całokształt życia tych ośrodków akademickich.

„KAMENA”: — Czy istnieje możliwość przedłużenia czasu pobytu delegacji polskich w ZSRR i radzieckich w Polsce, ewentualnie ustanowienia nawet miesięcznych praktyk w poszczególnych zakładach pracy? Odnosimy wrażenie, że mogłoby to dać znacznie więcej niż trzydniowa wizyta, która często ma charakter kurtuazyjny.

WL. KOZDRA: — Dążymy do tego, aby okres pobytu delegacji specjalistycznych przedłużyć. Osobiście sądzę, że bardziej robczo, a często i dłuższy pobyt naszych delegacji pozwolił na lepsze zgłębienie problematyki gospodarczej, społecznej i kulturalnej, a wzmocniła troska o efektywność wyjazdów zapewni wszechstronne wykorzystanie w praktyce najlepszych doświadczeń pracy naszych sąsiadów.

Jestem przekonany, że jeśli zachowamy ciągłość informacji między naszymi zakładami pracy, szkołami i instytucjami a ich odpowiednikami w sąsiednich obwodach, a kroki w tym kierunku już podjęliśmy ustalając na przykład z obwodem wolińskim kilkadziesiąt stałych kontaktów informacyjnych, praktycznie wyniki współpracy można będzie jeszcze wydatnie powiększyć.

„KAMENA”: — Obecna „Kamena”, kontynuując tradycje „Kamieni” przedwojennej, popularyzuje współpracę literaturę ukraińską i białoruską. Ostatnio nawiąaliśmy kontakt z lwowskim „Zwotieniem” i mińskimi „Polymieniami”. Mamy zamiar wymieniać opowiadania, wiersze, materiały publicystyczne. Już zaprezentowaliśmy naszym czytelnikom lwowski „Zwotień”. Jak oceniacie te inicjatywne rednki?

WL. KOZDRA: — Mówiąc o wymianie kulturalnej nie wspominałem o roli prasy i radia. Ich rola, jaką spełniają informując społeczeństwo o wszystkich formach wzajemnej współpracy, jest ogromna. Lubelskie redakcje gazet i radia coraz ściślej i bardziej robczo współpracują z odpowiednimi redakcjami Brześcia i Lucka przy pomocy reporterskiej wymiany dziennikarzy a ponadto wykorzystują każdą okazję do wymiany publikacji, a w przypadku historycznych rocznic — nawet całych kolumn gazet i zespołów audycji radiowych. I inicjatywę „Kamieni” z tego zakresu uważam za bardzo pożyteczną i potrzebną. Społeczeństwo pragnie je na pewno z dużym zadowoleniem.



Białystok, ul. M. Curie-Skłodowskiej Fot. S. Hryniawicki

LONGIN JAN OKOŃ

Dom

Wracam
w prostokąty ścian
gdzie spokoju pędzel
przestrzeni przedzę
przemienia
w kojący rytm zaciśca

Z okiennych ram
niklowanych słońcem
położonych książecym
zwoisa
blekitny safian nieba
lub czarny szal z kolumnami gwiazd

Cieknie
kropkami
czas

Z rozgwaru dnia
wracam w prostokąty ścian
gdzie żona —
powiewny motyl
owoc uśmiechu pada
czerwony erotyk

gdzie księgi smukłe i pękate
wołają w dżunglę liter
a szklany ekran wędrujący światem
— strumień obfity
zawiesi oczy
nad Himalajów szczytem

Wracam w prostokąty ścian
gdzie mieszka cisza
a z okiennych ram
uroda nieba zwoisa

Chelm

ANDRZEJ K. WASKIEWICZ

obecność

krasylów

1

tylko obecność — taka mała jak dłoń
gdy ją zaciskasz do bezbronnej piąstki

dłoń wtedy miewa kulisty kształt globu
w tym wymiarze i cieple bliższy i prawdziwszy

słowo — którego nie znasz — może tylko skłamać
obecność znaczy więcej — jest zawsze spełnieniem

w tętnie oddechu i szeleście krwi
jesteśmy zawsze do końca — prawdziwi

II

tak — wciąż bez słowa — samą obecnością
czas otworzył — i stanął przed tobą

ja dodam jeszcze że także jest strefa
pamięci ciemnej w dorzeczech twych żył

i bez lez jeszcze — samym tylko krzykiem
ból rozpoczął w źródle i ciebie

III

glob nam jest dany jako garstka ziemi
— także obecność obok nas stojących

wtedy się czule zawęzła do dłoni
— z dotyku znamy ich bezsłowną mowę

Zielona Góra

EUGENIUSZ JEWTUSZENKO

W przekładach
KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Obrazek z dzieciństwa

Bieglimy wszyscy na złamanie karku,
bo kogoś bito na pobliskim targu.
Okazję taką ktoś by chciał przegapić!
Na gwałt się ludzie naprzód wyrwali
i do wałonek wody nabierali
zapominając, że im z nosa kapie.

Zamarliśmy. Strach w serca nam się wciśkał,
gdyśmy ujrzeni, jak się wciąż zaciskał
pierścień kożuchów, szub i kapeluchów
wokół jakiegoś chłopca przy straganie,
a on zasłaniał się przed popychaniem,
płuciem, kopaniem i przekleństwem wybuchem.

Nagle ktoś kropnął weń kawałkiem lodu,
inni huknęli, ten z tyłu, ten z przodu.
Krew wystąpiła. To już nie przelewki.
Tłum się rozświecił i wrzeszczano razem,
i bito go, ten pałką, ów łazłem,
lejącami czestowano dla rozgrzewki.

Próżno im charczał: „Ludzie, co robicie...” —
tłum się policzycy z nim chciał należycie,
tłum stał się głuchy, oślepiony szaleem,
tłum tych, co bili źle, do lania bechtał
i coś do ciała podobnego deptał,
wbijając w błoto ze śniegu powstale.

Bito ze smakiem. Z namysłem. Z pojęciem.
Widziałem, z jaką wprawą, jak zawzięcie
ofiara ledwo czerpiąc powietrze
gnojem i błotem zbabrane na poly
flukły z uporem wciąż czyjeś buciory
z zatluszczonymi uszami na wierzchu.

A ich właściciel, chłop z pyskiem uczciwym,
z swej uczciwości dumny i szczęśliwy,
bił pouczając: „Co, ponieśli wilka?!...”
Bił szlachetnością tylko uniesiony
i cały mokry, wesoly, czerwony
krzyknął mi: „Mały, dolóż i ty kilka!”

Już nie pamiętam, ilu ich tam było,
stu może albo może więcej było,
ale mnie, chłopcu, lzy zasnuły oczy,
i kiedy ludzi stu podnosząc wrzawę
bić będzie kogoś, choćby słuszną nawet,
do nich, sto pierwszy, nigdy nie dołączę.

Za ścianą śmiano się wesoło

Za ścianą śmiano się wesoło,
a ja patrzyłem na tynk biały
z duszą jak gdyby z dzieckiem chorym
w rękach, co puste się stawały.

A tak się śmiano nieprzyjemnie,
jakby sztywno coraz głośniej.
To oni śmiali się tak ze mnie
i śmiali się tak bezlitośnie!

Mylilem się: w rzeczywistości
zmęczyło ich tańczenie w koło
i śmiali się zwyczajnie gości
nie ze mnie ani też z nikogo.

Śmiali się ludzie zarty strojąc,
od wódki było wciąż weselej
i o mnie z chorym dzieckiem moim
śmiejąc się wcale nie myśląc.

Śmiali się ludzie... I ja nieraz
tak samo śmiać się potrafiłem,
kiedy za ścianą ktoś umierał
i czuł, że walczyć nie ma siły.

I myślał, tracąc już nadzieję,
niezależnie się poddając smutnie,
że to ja z niego tak się śmieję
i może szydzą zeń okrutnie.

Bo w życiu wszystko jest opacznie
i zawsze będzie tak na świecie:
za ścianą szłocha ktoś rozpacznie,
gdy my śmiejemy się jak dzieci.

Bo w życiu wszystko jest opacznie
i już nie zmieni się ni trochę;
za ścianą ktoś chichotać zaczyna,
kiedy nam prawie chce się szłochać.

Strzeż się więc w smutku — tego grzechu,
abyś zawistnie nie uważał,
że czyjeś tam za ścianą grzechy
chcą zamartwionego cię obrazić.

Bo równowaga — w życia kole,
Znieważasz siebie sam zardzością.
Za twoją kłeskę, za niedolę
ktoś inny cieszy się radością.

Pragnij, by w tej ostatniej chwili,
gdy koniec swój poczujesz blisko,
za ścianą ludzie się bawili,
śmiali się, śmiali mimo wszystko!



Przeżucie, że już wiersz ma powstać
dla prawdziwego jest poety
poczuciem winy, którą ktoś tam
popelniał teraz albo przedtem.

I choćby nawet nie on zgrzeszył,
czuć będzie, że to jego wina,
tak mocno bowiem z ludzką racją
wiąże go uczucie pepowina.

Pogardza czując się nieswoje
i sławą i błędnym stołem,
wciąż ze spuszczoną od win głową,
lecz z podniesionym za to czołem.

Wojen i ludzkich kłesek ofiary,
gałąź złamana przez człowieka
do winy rosną w nim rozmiary
i winy jego, a nie wieku.

I własne życie się pocie
zdaje tym bardziej grzeszne jeszcze.
Za miłość — tej czy też kobiecie
kiedyś odplaci się nareszcie?

Wiecznie porusza nim wstyd prosty,
w fal nieobjętość go rzucając,
i on zwykły kościół mości mosty
nieopłacalność optacając.

A tam gdzieś, tam, na końcu drogi,
przed którym się uchronić nie da,
on powie: „Przebac, Boże drogi...”
choć się i tego nie spodziewa.

I duch opuścił ciała brzemię
i w ogień! — rajem pogardziwszy,
mając od Boga przebaczenie,
lecz sobie sam nie przebaczywszy.



Nie, ja nie pragnę połowy nieczego!
Chcę całej ziemi! Dać mi niebo całe!
Morza i rzeki, górskie zwały śniegu —
wszystko jest moje! Wara od podziatu!

Nie, życie, ty cząsteczką mnie nie zjęćś.
Sił starczy! Pragnę wszystkiego w całość!
Ja się nie zgodzę na połowę szczęścia
ani połowy nie zechcę przykości.

Chcę jednej tylko połowy gorąco —
poduszki tej, gdzie obok twarzy bliska
gwiazdą bezradną, gwiazdą spadającą
na twojej ręce pierścionek polska.

Niepewność

Zarozumiałość jest szczęśliwa,
niepewność — bliska jest grzesności.
Ferment, co w duszy się ukrywa,
powleka lodem wątpliwość.

Lęk zabobonny mną owłada,
choć i niepewność ukryć pragnę:
to, że zanadto w czymś przesadzam,
to, że mi słów właściwych braknie.

I cały czas powtarzam sobie:
po co właściwie ludziom kłamię
i po co się w potęgę zdobie,
kiedy się wciąż z niemocą lamie!

A nuż przytępia mnie — kanciarza
i stanę się dla wszystkich inny
i pójdę, szuler, oszust, bałant,
związany, bo fałszerstwa winny.

I myśl ta nie pozwala przeto
na papier słowem moim spływać...
O, Boże, daj mi być poetą!
Nie pozwól ludzi oszukiwać.

Entuzjaści z Biłgoraja

(Dokończenie ze str. 1)

kałski. On pierwszy zainteresował się
biłgorajskimi sianami i biłgorajskim re-
gionem. Zbił, kupował za własne
pieniądze ze swojej skromnej inspek-
torskiej pensyjki, zadziwiająco zapewne
tuzi brakiem roztrąpaności, bo któryś
to z rozsądnych redaktorów wydaje
pieniądze na takie graty, zamiast, powiedz-
my, na wódkę? Dzisiaj „graty” są już
w muzeum. Do niedawna opiekowała
się nimi Włosiankarska Spółdzielnia
Pracy, przy której od 1953 r. istniał
punkt muzealny. Obecnie Biłgoraj ma
swoje muzeum z prawdziwego zdarze-
nia. Uroczystego otwarcia dotychczas
jednak jeszcze nie było. Kustosz, Janusz
Bentkowski, nie może przejść spokojnie
ulicą. Pytają go bowiem nie tylko
„czynnik oficjalny”, ale także zwykli
przechodnie. Wszyscy zadają to samo
pytanie: — kiedy?

Na pewno w najbliższych miesia-
cach. Może już w styczniu, a może
dopiero w lutym... Byłoby przedzie,
gdyby nie płytki PCV, czyli złośli-
wość martwych przedmiotów, albo
mówiąc prościej niedbałość Biłgo-
rajskiego Przedsiębiorstwa Budowa-
lanego, które posiadkę wykonywa-
ło. Nowiuteńkie płytki odeskowały.
Zbliża się — kilkakrotnie zreszta
przesuwany — termin otwarcia, a
płytki uparcie odskakują. Jak
wprowadzić gości do takich sal...

Były też kłopoty z aranżem wnętrza.
Wydział Kultury Prez. WRN w Lubli-

nie zawarł umowę z wykonawcą. Wyko-
nawca wywiązał się z podjętego
zobowiązania, tylko że nie konsultował
się z biłgorajskim muzeum. Wydział
Kultury zapłacił, wykonawca wziął
pieniądki, ale aranż okazał się nie przy-
stosowany do specyfiki eksponatów.
Wobec takiego stanu rzeczy Janusz
Bentkowski, współpracując z Edmun-
dem Szubiakiem, dyrektorem PDK —
wzięli się sami do roboty opracowując
nowy aranż, który zatwierdzony został
przez lubelskie muzeum. W chwili obec-
nej w gorączkowym nastroju toczy się
praca. Do późna w nocy świecą się okna
biłgorajskiego muzeum, Janusza Bent-
kowskiego można zastać prawie o każ-
dej porze. Porządkuje swoje eksponaty,
z których jest zadowolony chyba nie
bez powodu. We wsi Banachy odkrył
on dziadka Franciszka Banacha. Dzia-
dek plecie racze z tyka jak za dawnych
czasów. Unikaj! O drugim takim nie
nie słychać. Kustosz nakręcił wąsko-
tasmowy film ukazujący dziadkowi
cyki produkcyjny, a dziadek tak bar-
dzo zasmakował w grze aktorskiej, że
jeden film już mu nie wystarczy. Chce-
grać w następnym. Mówi, że zwolna
swoich kolegów i pokazuje, jak to oni
kiedyś drzewo podbierali z jasnopau-
skiego lasu.

Pan Wladek ogląda programy te-
lewizyjne w świetlicy straży po-
żarnej. Twierdzi, że tam czuje się
swobodniej aniżeli gdzie indziej.
No cóż, rzecz gustu. Według infor-
macji pana Władka w Biłgoraju
jest sporo świetlic i klubów. Ale

dziesiąt. Wątpliwe, czy zmieści on jed-
nak i 600 młodzieży. A z tym faktem na-
leżałoby się liczyć. Dobrze byłoby więc,
gdyby Dom Kultury Dzieci i Młodzieży
szczęśliwie realnie, a nie tylko w
sprawozdaniach.

Pan Wladek trochę przesadził.
Opowiadając o „Mewie”, wpadł w
wielki zapał i sporo przesolił.

— Nie — mówi z uśmiechem dy-
rektor Szpakowski. — Koszul niemi-
nających jeszcze nie produkujemy.
Na razie bielizna. Chce pan zobac-
zyć produkcję?

W pierwszej sali na ogromnych
szpulach białe nici przemieniające
się w dzianinę, w drugiej sali farbu-
ją, w trzeciej szyją i pakują. Na-
wet się człowiek nie obejrzał, a
trzymają już w rękach gotowy pro-
dukt jakby wprost ze sklepu. Robota
czysta, zmechanizowana. „Mew-
wa” — czyli Zakłady Przemysłu
Dziewiarzkiego — powstała w r.
1963. Pracownicy są także młodzi,
przeciętnie 21 lat.

Pan Wladek wymachuje serwetą
przewieszoną przez ramię. Przed
południem ludzie w Biłgoraju pra-
cują i nikt nie pije kawy w
„Astorii”. Pan Wladek, korzystając
z wolnej chwili, może pogadać
trochę z ciekawym klientem. Poka-
zuje mu przez okno rynek, pom-
nik, budynki o świeżych tynkach,
okazały gmach Prezydium MRN i
mówi pełen energii:

— To wszystko nowe. Wtedy, pa-
nie, to się chciało naprawdę ucie-

kać. Brat mnie natławił, ale ja
mu powiedziałem: „Przyjedź tu za
kilka lat, zobaczysz...”

I został pan Wladek w Biłgoraju. Po-
daje smaczne obiady w „Astorii”. Ze-
stali także inni. Niektórzy wrócili tutaj
nawet po ukończonych studiach, zajmu-
ją poważne stanowiska, zwłaszcza w
pracy kulturalno-oświatowej. Chyba dla-
tego prężne jest życie kulturalne dzie-
ściotysięcznego miasta. Niejedną
znacznie większą ośrodek miejski mógł-
by pozazdrościć Biłgorajowi i mógłby
się wiele od niego nauczyć. Przede
wszystkim zaś entuzjazmu i dobrej
organizacji pracy. Bo wcale nie przesadza
magistra Ziótkiewicza brak oporu do
nietyfowego „Lublina”, który stoi
unieruchomiony. Ponieważ sam nie
może jechać w teren, kierownicy z pe-
wiotwórczymi placówkami kulturalnymi
przejeżdżają do Poradni K. O. na kilku-
dniowe szkolenia. Jerzy Skakun z Wy-
działu Kultury i Oświaty znajduje
do środki materialne.

Trudną sytuacją lokalową Domu
Kultury obok bezpośrednio zaintere-
sowanego dyrektora Szubiaka
martwią się i sekretarz KP PZPR,
Józef Dechnik i przewodniczący
Prezydium PRN, Emil Lipianin,
którzy nie szczędzą starań i czasu,
aby zdobyć odpowiednie dotacje.
Należy życzyć im wszystkim pów-
odnienia i nadal tego zapału, któ-
rego nie są pozbawieni. Należy ży-
czyć także, aby uchwała, mówiąca
o koordynacji działalności kultural-
no-oświatowej i środków, podjęta
w grudniu 1966 r. na plenum KP
ZMS — została jak najprędzej zrea-
lizowana. Tego można się w Biłgo-
raju spodziewać, bo tamtejsi dzia-
lacze pracować potrafili nie tylko
z entuzjazmem, ale także z głową.

Adam Janusz Bien

DOM, SZKOŁA i...

W Domu Nauczyciela w Lublinie 31 stycznia odbyła się dyskusja na temat problemów przestępczości nieletnich, poruszonych w artykule Jerzego Dostatnego pt. „Kradzież własnego życia” („Kamena” nr 1 z dnia 15 stycznia). W dyskusji tej, zorganizowanej przy współpracy Klubu Nauczyciela, wzięli udział: ANNA KIELASINSKA (AK) — sędzia Sądu dla Nieletnich, KRYSZYNA KUCHARSKA (KK) — przedstawicielka Oddziału Miejskiego ZNP, BOGDAN KOWALSKI (BK) — wizytator Kuratorium Okręgu Szkolnego, ANDRZEJ MICKIEWICZ (AM) — wiceprzewodniczący ZW ZMW, KRYSZYNA MOSTOWSKA (KM) — z Tow. Chorągwi ZHP, STANISŁAW SKOCKI (SS) — z-ca Inspektora Oświaty, JOZEF STELIGA (JS) — wiceprezes Zarządu Okręgu ZNP, ALINA WADOWIAK (AW) — sekretarz KM PZPR w Lublinie, STANISŁAWA WITKOWSKA (SW) — przewodnicząca Oddziału Miejskiego ZNP, mjr JAN WRÓBLEWSKI (JW) — z KW MO, BOŻENA SWITACZ (BS) — przedstawicielka Komendy Chorągwi ZHP oraz z ramienia redakcji „Kamena”: członek kolegium redakcyjnego mec. KONRAD BIELSKI (KB) i członkowie redakcji red. red.: MIROSLAW DERECKI, JERZY DOSTATNI (JD) i IRENEUSZ J. KAMINSKI. Mimo zaproszenia nie przybył nikt z ramienia ZW ZMS. Oto fragmenta rzyzna relacja z dyskusji, która trwała ponad 4 godziny.

JD: — Artykuł był napisany prokokujuco, cnotylo o to, aoy wywołał dyskusję, aby poruszyć czytających. I rzeczywiście otrzymaliśmy dużo listów i telefonów od naszych Czytelników. Pozwól sobie odczytać fragmenty niektórych listów, część z nich opublikujemy w najbliższym numerze (ukazały się w nr 3 z 15 lutego — przyp. red.). Mamy nadzieję, że dyskusja nie tylko wskaże źródła wzrastającej przestępczości nieletnich, ale wykaże, dlaczego mimo wielu podejmowanych akcji przeciwdziałających zjawisko to nadal narasta.

JS: — W sprawie przestępczości nieletnich spotykamy się w różnych gronach od kilku lat. W szkołach województwa istnieje 240 komitetów opiekuńczych złożonych z nauczycieli i rodziców, powołanych z inicjatywy Kuratorium. Są różne uchwały, m. in. ostatnio — Prezydium MRN w Lublinie. Artykuł więc nie był rewelacją, nie odkrył nowego problemu. Trzeba go uzupełnić zresztą dzisiejszymi artykułami red. Gogolowskiej w „Sztandarze Ludu” i red. Jurkowskiej w „Kurierze Lubelskim”, autorki podają m. in., że 30 proc. ogółu rodziców to rodziny nie żyjące, nie oddziałujące na dzieci. Nie zważamy problemu do szkoły i domu. W szkole dziecko spędza 3—5 godzin, większość w domu, a gdy rodzice pracują — wśród rówieśników, wśród dorosłego społeczeństwa. Jakie społeczeństwo, taka młodzież. Widzę konieczność wstrząśnięcia rodzicami. Artykuł wpłynę na pewną część rodziców, ale czy także na tych, którzy sami kradną lub uprawiają nierząd?

JN: — Mam w milicji wiele cyfr, ale mimo to badania przyczyn są jeszcze w stadium początkowym. Nie wiemy prawie nic o przyczynach recydywy. Dopiero teraz podjęto badania 200 takich przypadków w okręgu zamojskim — rolniczym i w Zagłębiu Śląskim — okręgu przemysłowym. Naszym zdaniem trzeba rozmawiać nie słowami „należałoby”, ale polecać konkretnie, kto i co ma robić, nie zadowolając się powzięciem uchwał i wydaniem regulaminów.

SS: — W naszym życiu usługi w ogóle nie nadążają za rozwojem potrzeb społeczeństwa. Działalność wychowawcza, spełniająca rolę usługową wobec społeczeństwa, też nie nadąża. Jeżeli słusznie występujemy pro publico bono, musimy znacznie silniej niż dotychczas synchronizować naszą działalność. Nie możemy szufladkować odpowiedzialności, jak to często bywa: to należy do szkoły, to do domu, to do organizacji itd. Publikacje prasowe powinny być ostre, ale musimy mobilizować wszystkie środowiska, a tymczasem artykuł z prasą wskazuje tylko na nauczycieli.

AW: — Lublin w skali wojewódzkiej wygląda najgorzej. A przecież mamy tu 51 proc. lekarzy, 55 proc. ludzi z wyższym wykształceniem w województwie żyje w Lublinie, 38 proc. ze średnim wykształceniem, na tysiąc mieszkańców jest 92 członków partii. To wszystko stanowi dużą siłę, nawet wobec 50 tys. młodzieży w wieku szkolnym. Chyba nie ma w Polsce tak dużego miasta, w którym uruchomiono by tak bardzo mało placówek kulturalnych. Całe wakacje „zjeżdżaliśmy” po właścicielach czy gospodarzach stadionów i boisk, aby je powszechnie uprzystosować młodzieży — niemal bez rezultatu.

JD: — A np. „Lublinianka” wspomina, że tej stadion został zbudowany głównie dzięki pracy społecznej...

AW: — Mam tu uchwałę Prezydium WRN z 28 kwietnia 1963 r. w sprawie przestrzegania regulaminów szkolnych, pedagogicznych, obiektów kulturalno-oświatowych. Wydziały budownictwa i architektury zostały zobowiązane do zagwarantowania ośrodków kulturalno-oświatowych. Poza częściowo działającą spółdzielczą LSM nikt tej uchwały nie egzekwuje.

AM: — Moim zdaniem w szkole zwinęto proporcje między nauczaniem a wychowaniem na niekorzyść wychowania. W mocno przeludowanym programie zaczyna gła-

nać cel wychowawczy szkoły. My w ZMW stykamy się z tymi, którzy będą nauczycielami. ZNP ma tu jeszcze bardzo szerokie pole do działania we wdrażaniu tej młodzieży naukowego poglądu na świat. Obecna sytuacja w studiach nauczycielskich jest źródłem późniejszych dualizmów w wychowywaniu dzieci.

KB: — Diagnoza jest trudna, terapia jeszcze trudniejsza. Moim zdaniem najważniejsza rzecz to profilaktyka. Taką profilaktyką i chyba najlepszą są placówki kulturalne. My tu, w Lublinie, mówimy o tym od lat, ale od lat nie budujemy, w hierarchii potrzeb kultura zawsze znajduje się na ostatnim miejscu. Na sport dajemy znacznie więcej, ale prawie wyłącznie dla wyczynowców, obiekty sportowe są otwarte tylko dla nieletnich grup.

JS: — Jednym ze środków profilaktycznych przeciwko przestępczości nieletnich jest reagowanie już na wybrki chuligańskie. Ale reagować musi całe społeczeństwo, a nie jednostki. Właśnie wczoraj mówił mi jeden z profesorów UMCS, że gdy interweniował na ulicy, miał przeciw sobie kilku dorosłych — że czepia się dziecka, że lepiej by pomyślał o własnym, że co go obchodzi obce dzieci. W takiej sytuacji nawet milicjant może reagować tylko w śródmieściu, na przedmieściu jest sam wobec wielu. Broni użyć mu nie wolno, ostatecznie może pałkę, ale właśnie — ostatecznie. A co na przedmieściu ma zrobić nauczycielka, co ma — robić w parku, kinie? Słowa? A w Lublinie 80 proc. nauczycieli to kobiety. Red. Dostatni porównywał w artykule milicjanta, lekarza i nauczyciela. Milicjant ma władzę, lekarz niesie widoczną pomoc, a co na ulicy ma nauczyciel, gdy w dodatku część starszych zwraca się przeciw niemu a inni odwracają się?

JW: — Dobrze, że problem przestępczości nas niepokoi. Trzeba mieć sporo pretensji do rodziców, do części nauczycieli, do organizacji młodzieżowych i do nas, milicji. Nie chodzi o to, aby nauczycielstwo zwalczało tzw. duże chuligaństwo, lecz to małe, drobne. Ale często bywa i tak, że nauczyciele wypływają płucą, rodzice są rozsądni, ale chłopak chodzi już samopas. W roku ub. w Lublinie na 723 ustalonych przestępów tylko 19 sżazano na umieszczenie w domach poprawczych, bo w ogóle brak w nich miejsc, zbyt mało takich domów. Na tych 19 dla 9 zabrakło miejsc, oni to gwizdzą na wszystko, każdy ma po kilkadziesiąt przestępstw na swoim koncie i powiadają: i tak nam nie nie zrobicie. 26 miało być izolowanych w domach wychowawczych, ale dla 19 też zabrakło miejsc. No i nowe źródło infekcji.

AW: — Młodzież, opuszczająca zakłady poprawcze czy wychowawcze, wraca do środowiska przestępczego jeszcze lepiej „wyszkolona”.

JS: — Kierownik domu poprawczego w Dominowie mówi, że w 40 proc. ma wyniki dodatnie.

AW: — Powiedzmy, i tak pozostaje 60 proc.

SP: — W tych zakładach harcerstwo tworzy drużyny, wciągamy młodzież na obozy, pokazujemy jej normalne życie i pragniemy przekonać, że jest ono ciekawe, pożyteczne. W zakładzie wychowawczym w Maiborku osiągnęli 60—70 proc. pozytywnych wyników, więc mamy co u nas poprawiać. Ale do tych zakładów trudno zdobyć występijalizowanych nauczycieli. Dostaliśmy 2 miejsca na kursie w Rabce, ale od tygodnia nie możemy się doprosić załatwienia sprawy w Kuratorium.

BS: — Ok. 5 proc. harcerzy popełnia jakieś przestępstwa. Aby temu przeciwdziałać, podejmujemy takie doroczne akcje jak „Nieorientary szlak”, „Nieobozowe lato” czy „Lato wiejskich drużyn”. Młodzież, która popadła w konflikt z prawem,

najczęściej wyodrębniamy w osobne drużyny, ale tak, aby inne drużyny nie o tym nie wiedziały. Mieliśmy także drużynę z chłopców z domu poprawczego. Na 27 pozostało do końca 25 i byli rzeczywiście dobrymi harcerzami. Myślę, że to jest dobra profilaktyka. Była też drużyna przy Sądzie dla Nieletnich...

AK: — Takiej drużyny przy naszym Sądzie ani nie było, ani nie ma. Ale proszę zwrócić uwagę, że 80 proc. stających przed Sądem to drugoroczni. Chyba w szkołach i w domach właśnie nimi należy się specjalnie zająć, tego zjawiska nie można lekceważyć. Nasz Sąd w Lublinie obejmuje kilka powiatów. W 1966 r. mieliśmy 200 spraw więcej niż w 1965 r. Ale np. taki wypadek. W Puławach chłopiec w I klasie był dwa lata, w II też dwa, w III trzy lata, wreszcie przeniesiono go do innej. Z fatalną opinią o nim samym i jego domu. A tymczasem dziecko było opóźnione w rozwoju umysłowym wskutek choroby. Co robiła szkoła przez tyle lat poza stawianiem dwóch? W innym wypadku nowa wychowawczyni w klasie już w październiku twierdzi stanowczo o pewnym chłopcu, że nic z niego nie będzie. Po 4 czy 6 tygodniach znajomości dziecka? Na jakiej podstawie wydaje taką opinię, która szery się w całej szkole, w środowisku, przenika do domu? A chłopiec reputuje po raz pierwszy, wymaga specjalnej opieki, pomocy.

BK: — Osiągnięcia w walce z przestępczością nieletnich są, ale sprawa rzeczywiście nie jest rozwiązana. Ale przytoczę państwu dwie rozmowy z dziećmi: 1) ja ołówków i zeszytów nie kupuję, bo mama pracuje w sklepie papierniczym, 2) u nas węgla się nie kupuje, ojciec z pracy przynosi codziennie wiadro. No i dziecko kradnie ołówek, zeszyt i książkę koleżce. Chyba trzeba zwiększyć represje w stosunku do rodziców, którzy nie wypełniają minimalnych obowiązków wobec swoich dzieci. Ba — są rodzice, którzy mówią po umieszczeniu dziecka w domu poprawczym: nareszcie pozbyliśmy się kłopotu. Niekiedy musi ich poszukiwać MO, aby płacił na kosztu utrzymania swoich dzieci. Jestem wrogiem kar cielesnych, ale uważam, że niekiedy w domu trzeba je stosować.

AW: — Z jednej strony znam wypadek, gdy rodzice przez 7 dni głodzili dziecko, bo nie chciało kraść. Z drugiej strony jest u nas jakiś fałszywy kult dziecka, który to dziecko demobilizuje. Latem są rodzice, którzy zabierają dzieci z obozów, bo dziewczynki obierają kartofle, z czym zresztą one same czują się dobrze w kolektywie. Problem wychowania socjalistycznego trzeba widzieć w praktyce a nie w słowach. Budować więcej zakładów wychowawczych lub poprawczych czy domy kultury? Zamknemy 800 młodych ludzi, będzie nowy tysiąc i co dalej? Trzeba na szeroką skalę podjąć profilaktykę „wolnościową”. Obok przestępców mamy znacznie licznější grupę młodzieży trudnej, która jednak nie weszła w kolizję z prawem. Często szkół zajmuje się tym stałe, ale to, niestety, przykłady oderwane. W innych stawia się dwie, po pięć słów, ruga się stałe, nieraz padają słowa w rodzaju „balwan”. Chłopak więc wieje na wagary i ma już otwartą drogę do chuligaństwa, potem przestępstwa. Tu trzeba poznać przyczyny słabego rozwoju umysłowego i psychicznego dziecka, pomóc mu, zapewnić korepetycje. Przesuwanie do innych szkół to połowa wilczego biletu. To rzeczy trudne, ale nie spychajmy dzieci na margines. A czy wiemy, jak jest w domach dzieci, z którymi mamy kłopoty czy przykrości? Matka przychodzi i obiecuje poprawę, a my nie wiemy, że w nocy razem z dzieckiem będzie musiała uciekać od męża i ojca alkoholika. Jest i druga grupa rodziców, u których istnieje tylko pęd do bogactwa, dziecko wy-



Fot. A. Polakowski

pycha się z domu czy z pokoju, aby nie przeszkadzało w używaniu tego bogactwa. Może to paradoksy, ale ci rodzice z najlepszym wykształceniem są na ogół najgorzej wychowywani własnych dzieci. Przeciw tej grupie rodziców trzeba ostro wystąpić — i to mamy zamiar zrobić. Nie selekcjonujemy programów telewizyjnych, a np. poprzednia seria „Wojny domowej” była antychowawcza.

Prawdą jest, że w szkołach Lublina wskutek olbrzymiego zagęszczenia klas, 2 czy nawet 3 zmian, wskutek tego, że nauczyciele dobierają i uczą się sami, sytuacja wychowawcza nie jest taka, jakiej sobie życzymy. Ale z drugiej strony w protokołach z rad pedagogicznych szukałam na dzisiejszą dyskusję czegoś o problemach tej trudnej młodzieży. Znalazłam tylko dwa takie wypadki.

JS: — Władze szkolne i ZNP prowadzą szeroką akcję podnoszenia kwalifikacji nauczycieli. Chyba nie ma zawodu w Polsce, który by tak masowo podnosił kwalifikacje — w naszym województwie 25 proc. nauczycieli. Kładziemy duży nacisk na sprawy wychowawcze. Nie dalej niż w ub. sobotę omawialiśmy nie tylko wyniki nauczania, ale i wychowania społeczno - obywatelskiego na konferencji w szkole eksperymentalnej nr 9. Szukamy stale nowych metod wychowawczych na konferencjach rejonowych, zajmujemy się tym szczególnie — po dzisiejszej dyskusji, w lutym i w marcu.

JN: — W 1965 r. zanotowaliśmy w województwie 5301 przestępstw, w tym 2160 czyli 40,8 proc. popełnili nieletni. W 1966 r. zanotowano 5672 przestępstwa, w tym 2527, czyli 44,5 proc. przez nieletnich. Liczba przestępstw wzrosła więc w ogóle o 371, ale popełnionych przez nieletnich — o 367. Tak więc wzrost przestępczości w 98 proc. dotyczy nieletnich, a tylko w 2 proc. dorosłych. Ponad połowę przestępstw, jednych i drugich, popełnia się w Lublinie. Wiemy wszyscy, jak wiele wysiłków podejmowano w tej sprawie. Wyraźnie zdołaliśmy zahamować tylko jedną sprawę — udział nieletnich w zorganizowanych grupach. Myślę, że zbyt wcześnie oczekiwaliśmy na wyniki w innych dziedzinach. Zresztą może większa liczba rejestrowanych przestępstw wpływa z lepszej pracy milicji, ale tym lepiej się nie sugerować. Jeżeli w samym Lublinie w 1966 r. zarejestrowano 1287 przestępstw popełnionych przez nieletnich (200 więcej niż w 1965 r.) to problem jest arcyważny. Wyraźnie spada także liczba podpałek przez nieletnich, to chyba wynik pracy harcerstwa i Ligii Kobiet. Szkoła robi dużo, ale czy wszystko? Na zebraniach rodziców, wywiadówkach, mówi się najczęściej tylko o stopniach, zbyt rzadko prowadzi się akcje pedagogizacji rodziców. Ale nie tylko nauczyciel, lecz także komitety rodzicielskie i trójki klasowe muszą znacznie częściej docierać do domów. Wśród członków

ZMS czy ZMW tylko 1—2 proc. młodzieży sprawia nam kłopoty. To dobrze świadczy o organizacjach. Ale mimo to na ich zebraniach powinno się częściej omawiać te problemy, sposoby oddziaływania na nieorganizowanych. Widzimy potrzebę zajęcia się przez ZMS i ZMW szczególnie ową trudną młodzieżą, która nie musi zaraz wstępować do organizacji, ale powinna czuć pomoc, opiekę. Olbrzymia rezerwa to związki zawodowe. My docieramy na różne zebrania związkowe, ale sami nie podaliśmy. Zakład produkcyjny, to nie tylko zakład produkcyjny, ale zakład wychowujący człowieka, o czym nie bardzo pamiętamy. Wielu majstrom czy brigadystom nosy posiniały nie od zakasanej przecięci, ale problemu młodzieży jakoś nie widzą, chociaż nominalnie są ich wychowawcami.

SS: — Była tu mowa o telewizji. Przed 3 dniami pokazano film szpiegowski, w którym uśmiercono człowieka zaciskaniem metalowej sprężyny. Następnego dnia mieliśmy próby podobnych „zabawek” w szkole. Najlepszym sposobem walki z przestępczością jest rzeczywiście profilaktyka. Jedną z jej form to nasza dzisiejsza dyskusja i inicjujący ją artykuł red. Dostatniego. Jeżeli jedno i drugie dotrze do świadomości wielu rodziców i nauczycieli, to już dobrze. Ale czy rodzice dadzą się wciągnąć w dalszą dyskusję? Publikacje prasowe muszą być ostre, aby spełniły swoje zadanie, ale muszą mobilizować wszystkie środowiska, w artykule zaś jest pewna przesada w widzeniu odpowiedzialności.

AM: — Naszej młodzieży brak rozładowania fizycznego. O boiskach mówiła już tow. Wdowiakowa. Ja osobiście uczę syna pływać raz w roku na Mazurach. Mamy tylko jedno przyzwoite lodowisko w 220-tysięcznym Lublinie. W parku stawiamy płyty z drutu kolczastego, aby saneczkująca młodzież nie niszczyła trawników. A gdzie ma jeździć? Gdy latem nad Bystrycą graliśmy z synem w kometkę, gospodarz mnie przepędził. Gdy poszedłem na stadion — wymiłał mnie. W jednej ze wsi koło ZMW społecznie przygotowywało świetlicę. Nikt nam nie chciał pozwolić na wycięcie 3 drzew na podłogę lub sprzedać desek. Więc chłopcy w nocy wycieli drzewa i nim się sprawa wydała położyli podłogę. Potem z zabaw, urządzonych na tej podłodze, przekazał 5 tys. zł na budowę szkół. Jednak wycięcie tych drzew nie było w porządku, ale jeżeli nikt nie chce młodemu pomóc, to co w takiej wsi mają robić — pić wódkę i chuliganic?

SW: — Poza takimi czynnikami, jak dom rodzicielski, szkoła, organizacje, opiekunowie, mamy jeszcze w Lublinie ponad 3 tysiące zarejestrowanych stacji, a przecież nie są to wszystkie. Miejska komisja oświaty ma sekcję, zajmującą się tymi sprawami, jest to chyba pierwsza taka sekcja w kraju.

(Dokończenie na str. 9)



POLSKA prasa literacka oraz tygodnik „Argumenty” dość szeroko zaznają o tych książkach, będących paszkwilem na Polaków, które na Zachodzie wzbudziły wiele hałasu. Niedawno w wydawce Kosińskiego „Malowanego ptaka” i Steinerja „Treblinkę”. Pierwsza z nich — jak wiadomo — ukazuje Polaków jako barbarzyńców i antysemitów, na których tle dodatnio zarzucają się hitlerowcy ustalający „Neue Ordnung”; poziom barbarzyństwa polskiego ludu przedstawiany jest w sposób sandomistycznymonstrualny. Natomiast książka Steinerja nie ma nawet pretensji do literackości, jest natomiast jednoznacznie antypolska, uporczywie i z pełnym zakłamaniem imputuje polskiemu narodowi antysemityzm twierdząc, że Polacy współdziałali z hitlerowcami w organizowaniu zagłady Żydów. Obie publikacje otrzymały we Francji wysokie nagrody literackie: Kosińskiego „Malowanego ptaka” — „Le Prix de Meilleur Livre Etranger”, przyznawaną dla najlepszej zagranicznej książki roku, zaś Steinerja „Treblinkę” — „Prix litteraire de la Resistance”, nagrodę literatury o ruchu oporu. O książce Kosińskiego francuskie piśmo „Tem'og Chretien” orzekło, że pozostanie ona „wśród dwudziestu kilku zasadniczych dokumentów poświadczających przez II wojnę światową”. (Cytuję za J. Wilczuram).

Pisarską metodę Kosińskiego zdemaskowali już na łamach miesięcznika „Odra” Hanna Wydziga i Jan Zaborowski. Udowodnili oni, że Kosiński zbeletryzował książkę znanego polskiego etnografa prof. Biegelsa, wydaną w r. 1929 w Krakowie, traktującą o obyczajach i zwyczajach ludu polskiego w XVIII i XIX w., transportując ciemność Polski feudalnej o 200 lat — do naszej współczesności. Dla mnie książka Kosińskiego jest od strony literackiej makabryczną bzdurą, a.e. jak się okazuje, jej autora można by nawet ścisłać jako plagiatora. Tym bardziej dziwi i smuci werdykt jurorów francuskiej nagrody. Teżom książka Steinerja posaram się przeciwstawić garść faktów z lat okupacji na Lubelszczyźnie.

Z początkiem podjęcia przez hitlerowców „akcji Reinhardt” zmierzającej do fizycznej likwidacji Żydów w Generalnym Gubernatorstwie, tysiące mieszkańców Lubelszczyzny narodowości żydowskiej szuka schronienia bądź w lasach, gdzie budują sobie podziemne schrony, bądź też u chłopów. Bardziej przewidujący Żydzi zaczynają przygotowywać te kryjówki już z chwilą organizowania przez hitlerowców gett i żydowskich obozów pracy. Te usiłowania Żydów nie dalyby żadnego efektu, gdyby nie fakt, że znaleźli oni ogromną i ofiarną pomoc ze strony ludności Lubelszczyzny, przede wszystkim na wsi. W związku z ukrywaniem się Żydów okupant podejmując liczne oblavy i represje przeciwko pomagającym im ludności polskiej. Jak te represje wyglądały, stwierdzimy na faktach.

23 lutego 1941 r. hitlerowcy przeprowadzili oblavy na Żydów we wsi Tomaszwice w pow. lubelskim. W trakcie tej operacji znaleźli Żyda ukrywającego się w piwnicy domu należącego do rodziny Pietraków. Wyciągnęto go stamtąd i rozstrzelano, a wraz z nim mieszkańców domu. Zginęli wówczas Leonard, Maria i Stanisław Pietrakowie, Franciszek Chęć i Stanisław Wierzbicki; ten ostatni był wysiedlencem i w Tomaszwicach zamieszkiwał przypadkowo. Hitlerowcom wystarczyło jednak, że przebywał w miejscu, w którym Żyd otrzymał pomoc.

W lutym 1942 r. podobną oblavy przeprowadzono we wsi Kocudza w pow. Janów Lub. Podczas oblavy odnaleziono ukrytych we wsi 4 Żydów. Rozstrzelano nie tylko ich, ale także 10 mieszkańców wsi, którzy Żydom pomagali.

W związku z pomocą udzielaną Żydom doszło do okrutnego mordu we wsi Białka w pow. parczewskim. W pobliskich lasach ukrywała się kilkudziesięciosobowa grupa żydowska, którą ludność Białki zaopatrywała w żywność 7 grudnia do wsi zjechała ekspedycja niemieckich żandarmów, którzy spędzili mieszkańców na plac koło szkoły, gdzie wybrano 96 mężczyzn. Wśród nich znaleźli się nawet kilkuletni chłopcy. Całą

grupę rozstrzelano z karabinów maszynowych, na oczach ludności.

A oto opis innego wypadku, jaki zdarzył się w Majdanie Kozie Górnych w pow. lubelskim. Cytuję według świadectwa enia sporządzonego przez b. Urząd Gminny w Piskach:

„... Grono znajomych Żydów w liczbie 5 osób omówiło sprawę z Janem Ostrowskim... aby w jakiś sposób uratować im życie... Ostrowski, człowiek uczciwy i łitosny... zaczął budować po nocach sekretnie w stodole specjalną kryjówkę... Zona zaś jego, Katarzyna Ostrowska, poświęciła się gotować, prać i podawać ukrytym życie... Prawdopodobnie ktoś... oskarżył... Ostrowskiego i żandarmeria niemiecka zrobiła... okrzykiem posesji... w dn. 24.XII.1942 r. tak, że nikt nie mógł się ruszyć. Na wstępie Niemcy pytają gospodarza, gdzie są ukryci Żydzi, lecz Ostrowski powiada: „U mnie żadnych Żydów nie było i nie ma ukrytych, proszę szukać”. Po zmuszonym poszukiwaniu wykryli schowanych i natychmiast wyciągnęli pięć osiar, kładąc ich twarzami do ziemi, związując ręce — rozstrzelali a Jana Ostrowskiego aresztowali i wywieźli najpierw do Pisk, Zona jego... wymknęła się oknem do lasu. Aresztowanego Jana Ostrowskiego przez parę dni tukli w Piskach, następnie wywieziony został na Majdankę i tam swój żywot zakończył...”

W związku z pomaganiem Żydom kilkakrotnie represje przeszła wieś Woła Przybysławska w pow. puławskim. Wieś była bazą Gwardii Ludowej, ale bezpośrednią przyczyną represji stała się jej pomoc wobec Żydów, których ponad 1000 ukrywało się w pobliskich lasach. Za udzielenie im pomocy hitlerowcy rozstrzelali tutaj kilkadziesiąt osób w kolejnych egzekucjach, przeprowadzonych 10 i 21 grudnia 1942 r., a następnie 18 lutego, 21 czerwca, 6 i 21 grudnia 1943 r. W toku tych egzekucji zginął tylko jeden Żyd.

W tymże 1943 r. hitlerowcy znaleźli 4 Żydów we wsi Zadębie w pow. lubelskim. Żydzi oraz ukrywający ich chłop zostali na miejscu rozstrzelani. Podobny przebieg miała oblawa w Kamieniu w pow. chełmskim. Tutaj z kolei hitlerowcy znaleźli 9 osób narodowości żydowskiej, które zostały rozstrzelane wraz z chłopem, który im pomagał.

Represje wobec ludności polskiej okupant stosował również za pomoc okrywanych żydowskim wężem obozów koncentracyjnych. Tak na przykład na stacji kolejowej Woła Uhruska w pow. włodawskim mieszkankę tej wsi usiłował podać żywność Żydom przewożonym do obozu zagłady w Sobiborze. Został zastrzelony przez ochronę pociągu.

27 grudnia 1943 r. grupa mieszkańców wsi Siostrzyów wybrała się pod obóz żydowski w Trawnikach, aby uwiezionym dostarczyć żywność. Ich wyprawa została wykryta przez hitlerowców. Zostali wtedy zastrzeleni: Władysław Fornal, Stanisław Maciejewski, Stanisław Suryś, Wacław Wawrzczak i Jan Pięta.

Tę garść faktów zebrałem mimochodem, nie zajmując się szerszym problemem pomocy niesionej prześladowanym Żydom przez polskie społeczeństwo. Dlatego zarówno liczba tych faktów, jak też towarzyszące im okoliczności wymagałyby olbrzymich uzupełnień, o które wcale nie trudno. Ze znanych mi Żydów, którzy przeżyli okupację na Lubelszczyźnie, wszyscy bez wyjątku przetrwali tylko dzięki pomocy udzielanej im przez Polaków. Prawdopodobnie dotyczy to i Kosińskiego, w okresie okupacji kilkuletniego chłopca, którego polskie społeczeństwo obdarowało nawet nazwiskiem. Dysponuję danymi, które przy niewielkim nakładzie pracy pozwoliłyby pomnożyć zestawienie: faktów pomocy udanej im Żydom przez polskie społeczeństwo, i represji, które spadały za to na Polaków. Represji takich nie znają społeczeństwa Francji, Belgii, NRF, USA i innych krajów Zachodu, entuzjastycznie się dziś rewelacjami zawierają w książkach dwóch moralnych wyzutków. Notabene, po zerwaniu z krajem, Kosiński ożenił się z francuską milionerką starszą od niego o blisko 30 lat, co może nasuwać tylko dwa wnioski: albo Kosiński jest psychopatą — zbroc nicem w rodzaju opisywanych przez siebie indywiduów, albo per-

fidnym, wyrachowanym Judaszem sprzedającym się z rutyną prostytutki. Ta ostatnia ewentualność dotyczy również i Steinerja.

Jeżeli chodzi o Steinerja warto przez chwilę zastanowić się nad pewnym fragmentem jego zarzutów s'awianych Polakom. I tu ucieknę się do cytatu z książki „Treblinka”, przytoczonego przez Jacka Wilczurę:

„... Schalomowi Kohn udało się zbiec wraz z 8 innymi towarzyszami. Grupa bojowa posiadała 3 karabiny i 2 pistolety. Do miesiąca grudnia 1943 r. błąkali się oni po lasach, żywiąc się kosztowną miejscową ludnością, walcząc przeciwko różnym faszystowskim grupom partyzantów skrajnej prawicy, chłopów i Niemców. Ożywił gwałtowną nienawiścią potrafił każdą walkę zakończyć zwycięstwem. Jednakże 4 spośród nich zginęli podczas walk. Postanowili więc połączyć się z Armią Czerwoną i pomazzerowali na wschód. W drodze spotkali grupę partyzantów polskich ze skrajnej lewicy, jedynych, którzy nie byli antysemitami. Nie mówiąc im o tym, że wracali z Treblinkę, zaproponowali połączyć się z nimi. Partyzanci akceptowali ich propozycję. Kohn i jego towarzysze szybko jednak zorientowali się, że partyzanci powierali im najtrudniejsze zadania i zaczęli się tym niepokoić. Już po kilku dniach nastąpiło zerwanie. Jeden z ich towarzyszy poległ w czasie walki. Zabrani jego zwłoki i zgromadzeni wokół nich odmawiali kaddish. Kiedy zobaczyli zbliżających się do nich partyzantów, grozących im, zdążyli jeszcze uchwycić broń. Partyzanci wówczas zatrzymali się. Maszerując tyłem, z pałcem na cynglu, Żydzi wystąpili z „sojusznicy” szeregów.

W lipcu 1944 w Lublinie Kohna i innych próbowano przekonać, że dla honoru narodu żydowskiego winni wstąpić do armii polskiej, która nadal walczy z nazizmem. Przyjmują propozycję. Każdy z nich zostaje wcielony do innej jednostki wojskowej. Pierwszy kontakt z żołnierzami polskimi był raczej chłodny, Kohn powziął decyzję „dla honoru narodu żydowskiego”. Aż do stoczony pierwszej bitwy, gdzie zrozumiał, że jeśli kule niemieckie mogą go nie trafić, kule polskie go nie chybią. Dezertuje z wojska i udaje się do swego rodzinnego miasta — Łodzi”.

W swoim czasie, podczas walk arabsko-żydowskich na Bliskim Wschodzie, Żydzi zadziwili świat dzielnością i sprawnością swojej armii. To prawda, ale od czasów rzymskich była to pierwsza okazja, w której Żydzi mogli wykaazać tę cechę swego charakteru narodowego. Przez całe wieki rozproszeni po świecie, odsunęci byli od spraw wojny i oręża, wskutek czego w tradycjach narodów pozostali jako antyteza wszystkich cech ludzi wojennych. Nie inaczej też wyglądali w tradycji społeczeństwa polskiego; chyba nie muszę o tym nikogo przekonywać, bez względu na słuszność samej tradycji. Niech więc nikt nie próbuje mi wmawiać, że był taki partyzancki dowódca polski, który najtrudniejsze zadania powierzał grupie żydowskiej i to w warunkach, kiedy od wyników realizacji najważniejszego zadania zależał przewaźnie los całego oddziału, a często — nie tylko oddziału. Opisane przez Steinerja odczucie żydowskiej grupy „jako dezercji dokonanej z powodów wręcz przeciwnych, niż podane przez autora paszkwiłu. A to wyjaśnia również drugą sytuację, kiedy Kohn dezertuje z frontu. No bo na jakiej podstawie „w pierwszej bitwie” na froncie odczuł, że „jeśli kule niemieckie mogą go nie trafić, to kule polskie go nie chybią”? Czy Polacy strzelali do niego w bitwie? Jeśli tak, to chyba Kohn nie zdołał by uciec z frontu do Łodzi. Więc i ta sprawa wygląda dla mnie jednoznacznie.

Nie wspomina Steiner o trzeciej podobnej sytuacji — kiedy dezertował z obszaru Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a tak z pewnością było. Udowodnienie tego w sposób przekonujący nie da nam jednak żadnej satysfakcji. Po zetknięciu się z „twórczością” obu hochsztaplerów nawet w sposób pośredni, pozostaje uczucie jak po nieoczekiwanym przypadku na lonie natury: niby obcas wytrzesz, a śmierdzi...

Pierwsza nadzieja

Oto mamy początek podróży do krainy rzeźbionej myślą, zamiast oka — ptak tutaj nam wróży i deszcz, który opada na liście.

Dymy nisko snują się u ścieżek i kamienie porastają rdzą, lecz na dno zerwane wlecierze i nie widać ciszy zmad łąk.

Wychodzimy patrzeć i czekać u zielonych wrót zamyslenia — i czujemy na swych powiekach przernianie własnego cienia.

Dębica

ERNEST DYCZEK

czekanie

czekam na czas który minął
czekam na głos który

przebrzmiał
czekam na noc co wokół mnie
czekam wciąż spokojnie na coś
co było albo jest
lub czego nie będzie

czekam
bo już tylko czekać umiem

Wrocław

ANDRZEJ ŻUROWSKI

Uciszenie

Przedmioty tracą kontur
— jedno pasmo mroku
Cienie gubią obrys
— wylewają rzeką
Lawa
— dymiąca burza —
ucicha w skorupę

Tylko przez popękane bliźny
usłucha się do słonca
wyschnięte źródło

Gdańsk

DEBIUT

STANISŁAW MATYS

✿ ✿ ✿

nie szum żono
nie bądź ślepa
las ci oczy zazielenił
zobacz matko
ja nie mogę
tyle biedy z leśną żoną
gdy jej cześć rude włosów
do mnie mówi
tylko błękit tonię w oczach
ty nie idź z rudej żony
kup wiewiórkę
taką rudą
kup wiewiórkę leśnej żonie

Białystok

Rewolucja

EZUC było, że zbliżają się jakieś zmiany. Mimo letniej ofensywy gen. Brusilowa, klęski armii austriackiej i zajęcia przez Rosjan części Galicji i Bukowiny nastroje antywojenne i antyrządowe rosły. Pamiętano o niedawnych klęskach, wykryciu sprzeczności i zdrady wśród władz wojskowych, w co zamieszany był nawet minister wojny Suchomlinow, i obawiano się nastrojów promiennickich cesarza i jego wpływu na nią i na dwór niemiecki — szarlatana Rasputina. A dezorganizacja ruchu kolejowego utrudniająca komunikację między poszczególnymi regionami imperium i opóźniająca dostawy, brak siły pociągowej na wsch. zmniejszenie się obszaru zasiewu i inne trudności rolnicze groziły głodem. Fale strajkowe ogarniały wiele miast przemysłowych, na terenach środkowoeuropejskich Rosji burzyły się kłuski tubylicy i narastał ruch wolnościowy narodów surowo dławiony przez władze.

Zabójstwo Rasputina przez księcia Jusupowa i Puryjskiewicza, dokonane w końcu grudnia, było ważną zapowiedzią zbliżającej się rewolucji. Nazwisko Puryjskiewicza

czyli rzecz o lubelskim sporcie akademickim

NA marginesie utyskiwań na temat lubelskiego sportu warto chyba też zauważyć jego specyficzny odłam — sport akademicki, czyli problemy sportowe studentów.

Na pięciu wyższych uczelniach Lublina studuje czternaście tysięcy osób. Ich wiek nie przekracza na ogół 23 lat. Większość zamieszkuje osobną dzielnicę tworzącą zwartą całość — miasteczko akademickie. Jako masa studentów stanowią 7 procent ludności największego i najbardziej „liczącego się” we wschodniej części Polski miasta wojewódzkiego. Ale jako środowisko sportowe w Polsce prawie się nie liczą.

W amerykańskich wyższych uczelniach sport przybiera niejednokrotnie monstrualne, zawodowe, komercyjne rozmiary tak, że w końcu student jest studentem tylko z pozoru, bo liczne i wyczerpujące treningi zabierają mu czas potrzebny na naukę. Ostatnio szwajcarski „Journal de Genève” poświęcił spory artykuł: „Nagroda Nobla czy centrum ataku?” sprawom zawodowego amerykańskiego futbolu i udziału w nim studentów. Podobno w wychowywaniu kadr dla sportu zawodowego przoduje w Stanach Zjednoczonych katolicki uniwersytet Notre Dame prowadzony przez księży jezuitów. Na konto naszego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego trzeba przecież zapisać, że jeśli chodzi o sport, nie bierze przykładu ze swego amerykańskiego krewniaka. Sport na KUL-u kuleje równie mocno jak na pozostałych wyższych lubelskich uczelniach. Ponieważ widać przerosły siły mięśni nad ilością szarej substancji mózgowej nie grozi w najbliższych latach naszym studentom, może warto by się zastanowić nad realnymi możliwościami sroawadzenia albo raczej: podniesienia studentkiego sportu do właściwych proporcji?

Kiedyś krakowski dziennikarz, Janusz Roszko, napisał w „Kamieniu” entuzjastyczny reportaż o współczesnym lubelskim studentcie i współczesnym „polskim Harvardzie” — miasteczku akademickim. Nie zauważył tylko, że nasza odmiana Harvardu posiada... jeden kort tenisowy i znajdujące się w bardzo złym stanie boisko do koszykówki i siatkówki... i że to już właściwie wszystkie sportowe „obiekty własne” że w całym miasteczku, w sześciu wielopiętrowych domach studenckich, nie znajduje się ani jednej sali służącej do uprawiania ćwiczeń sportowych. Czternastotysięczny ośrodek młodzieżowy w ciągu wielu lat nie tylko nie zrobił się na budowę sportowych obiektów zamierzonych, a nawet nie zdołał postarać się o własny stadion, mając przecież ku temu jak najbardziej odpowiednie warunki (teren, możliwość masowych czynności społecznych). Wśród działaczy studenckich i władz uczelnianych, gdzieś pomiędzy organizowaniem

„zielonych” i „białych niedziel” klubów-kawalerii w domach studenckich i sadzeniem krzewów ozdobnych przed nimi — zagubili się sprawy piłki, bieżni, pływalni, lodowiska. Lubelscy studenci nie mają własnego (choćby otwartego) basenu pływackiego, bo nie chcieli się im go wykopać, nie uprawiają tyżwiarstwa, bo nie stać ich na polanie wodą placów przed „akademikami” w czasie mrozów. Studenci działacze sportowi narzekają na „trudne i specyficzne lubelskie środowisko akademickie” (identycznie jak działacze kulturalni).

Na pewno zaś faktem jest, że w ciągu minionego dwudziestolecia nie zdołano w Lublinie wytworzyć atmosfery sprzyjającej rozwojowi

Powyżej przeciętnej krajowej. Ale to tylko cyfry wskazujące, ilu studentów posiada ważne legitymacje sportowe z opłaconymi składkami. Wyczynowo sport uprawia 376 zawodniczek i zawodników, zrzeszonych w klubie środowiskowym, trenujących w 7 sekcjach obejmujących 6 dyscyplin sportowych: koszykówkę (mężczyzn i kobiet), siatkówkę (j.w.), lekkoatletykę, piłkę ręczną i szermierkę. W ubiegłym roku lubelskie koszykarki awansowały do ekstraklasy państwowej, zdobyły akademickie wicemistrzostwo Polski oraz wicemistrzostwo Polski juniorek. Koszykarki uplasowały się w lidze międzywojewódzkiej na drugim miejscu, siatkarki zdobyły mistrzostwo ligi wojewódzkiej i za-

nowcy i „rekreacyjści” cierpią na tę samą bolączkę: brak własnych sal treningowych. AZS ma niezłą kadrę trenerską, ale warunki, w jakich ćwiczą sekcje, na ogół są złe. Treningi sekcji uczelnianych odbywają się w salach gimnastycznych lubelskich szkół, treningi sekcji wyczynowych — w stosunkowo dobrze wyposażonych salach różnych zrzeszeń sportowych; są one jednak udogodniane studentom w najmniejszej dla nich odpowiednich dniach i godzinach. (Brak odpowiednich warunków higienicznych w większości sal jest rzeczą znaną).

Niepoślednią przeszkodą w rozwoju sportu akademickiego są trudności finansowe, z jakimi boryka się AZS. Zbyt wielką część budżetu przeznaczają się bowiem na wynajęcie dwóch sal treningowych. Ubiegły rok budżetowy lubelski AZS zamknął deficytem 50 tys. zł. Tylko za samo wynajmowanie sal studenci zapłacili 135 tys. zł. Wśród właścicieli sal sportowych rekord pobilo kino „Koziołek”, gdzie za jedną jednostkę treningową (1,5 godz.) studenci musieli płacić 1800 zł!

Ciężkie warunki lokalowe, brak odpowiedniego zaplecza nie tylko ograniczają sport studencki do kilku dyscyplin, ale także zrażają ogół do zajmowania się sportem na serio. Nieliczna grupa trenuje z całym samozaparciem, większość uprawia sport od przypadku do przypadku. Najbliższe lata — dopóki nie zostanie wybudowany własny ośrodek sportowy — nie powinny przynieść tutaj zasadniczych zmian. Ale już teraz kierownictwo AZS i działacze sportowi powinni zacząć przygotowywać grunt dla przyszłych studenckich roczników. Być może droga do wytworzenia właściwego, sportowego klimatu w przyszłości, wiedzie w obecnych warunkach poprzez umiejętne i atrakcyjne propagowanie sportu masowego, łączenie sportu z turystyką, wprowadzenie sportu „rekreacyjnego” z niefunkcjonalnych sal na świeże powietrze?

Na razie więc — zdecydowanie fory dla „Nobla”. Czy takiego samego zdania są profesorowie, to inna sprawa...



Fot. A. Polakowski

zamiłowań sportowych wśród studentów, ani akademickich sportowych tradycji. Rozwój naszych uczelni nie pociągnął za sobą rozwoju zaplecza sportowego. Dopiero niedawno AZS zdobył się na zorganizowanie (jedynego zresztą) ośrodka sportowego, ośrodka sportów wodnych nad jeziorem Piaseczno. Dopiero pod koniec bieżącego roku w miasteczku akademickim rozpoczęło się budowę pierwszej w historii lubelskiego sportu studenckiego — hali sportowej. Dopiero pod koniec 1972 roku studenci otrzymają ośrodek sportowy z prawdziwego zdarzenia (trzy hale sportowe, kryta pływalnia). Być może wówczas (jeśli budowlani nie zawiodą) studencki sport, zarówno masowy jak wyczynowy, stanie na odpowiednio mocnym gruncie i wysokim poziomie. Ale na razie (z małymi wyjątkami) do tego daleko. Optymiści twierdzą że nie jest źle, bo AZS zajmuje wszak po Lublinie drugie miejsce w województwie. To prawda. Z tym zastrzeżeniem, że z kolei Lubelszczyzna zajmuje pod względem sportu bodajże siedemnaste miejsce w kraju!

Akademickie Zrzeszenie Sportowe w Lublinie liczy 2298 członków,

którzy kwalifikowali się do walk o wejście do drugiej ligi, siatkarki znajdującej się na pierwszym miejscu w lidze międzywojewódzkiej. Zawodnik AZS, Lecyk, jest kapitanem reprezentacji Polski juniorek w koszykówce, dwie zawodniczki — Chudzińska i Szawarska — grają w reprezentacji Polski juniorek.

Jedna czy dwie jaskółki nie czynią jednak wiosny i choć reprezentacje lubelskich studentów zdobyły kilka mistrzowskich tytułów, choć według oceny MKKF — AZS zajmuje w mieście wysoką lokatę w sporcie wyczynowym, to jednak wszystko sprowadza się do osiągnięcia bardzo nielicznej grupy osób i właściwie tylko do dwóch dyscyplin sportowych. A jeszcze warto dodać, że większość (55 proc.) zawodników rekrutuje się spoza kręgu studenckiego.

Gros członków AZS to studenci należący do klubów uczelnianych, które są nastawione raczej na rekreację niż na „wyczyn”. Działają tam sekcje koszykówki, siatkówki, lekkoatletyki, piłki ręcznej, dżudo, kulturystyki, okresowo — narciarstwa, saneczkarska, sportów wodnych (żeglarstwo, kajakerstwo). I wyczy-



TA śmierć przysłała niespodziewanie do człowieka, który odznaczał się cechami dziś wprost niezwykłymi: wieczną pogodą ducha, sztywnością dla wszystkich, stałą gotowością do powiedzenia wesołej dyktetyki.

Ryszard Schreiter urodził się w Lublinie i z tym miastem był przez całe życie związany. Tuż przed wojną skończył tu głośnie gimnazjum „Zamoja”, w czasie okupacji liceum handlowe. Ale handel rzucił w pierwsze chwile, gdy tylko otworzył się możliwości pracy w dziedzinie artystycznej. Najpierw więc w Okręgowym Domu Żołnierza, potem w operetce, a od 1948 roku w Teatrze Dramatycznym, któremu pozostał wierny do ostatniego dnia.

Tuż po wojnie wydał bardzo wówczas potrzebny zbiorek pieśni wojskowych, ale właściwie uciekł od swoich zamiłowań znalazł w teatrze. Był współtwórcą niemieckiego spektaklu, komponując lub dobierając muzykę, odpowiadając nie tylko samej sztuce, ale i aktorom, reżyserowi, choreografowi. Jego muzyka nie tylko wspierała to, co działo się na scenie, ale i podbiła widza, tworzyła na sali atmosferę, bez której prawidłowy odbiór sztuki nie mógł być pełny. Odznaczony przez Lublin Złotą Odznaką Zasłużonego, wnosil przez lat 20 do życia kulturalnego miasta wartości artystyczne i ludzkie pierwszej jakości. Trudno pogodzić się, że już Go nie ma...

OD BIERNATA DO CZECHOWICZA

W związku z 650-leciem nadania Lublinowi praw miejskich wprowadzamy w Kamenie „Jubileuszową” rubrykę, a raczej kącik, poświęcony poetom lubelskim od Biernata do współczesności. Przez określenie „lubelski” rozumiemy niekoniecznie tematykę wiersza związaną z tym regionem, ale głównie powiązanie w jakimś sensie życia poety z naszym miastem czy województwem.

MIKOŁAJ REJ

Poranek i wieczór

..... Pięknie świta,
Już się jeden o drugim ptaszek w lesie pyta,
Już skowronek na górze pięknie przepieruje,
Słowiczek we krzu krzyczy, gęgołeczka kuje.
Pożrzy wzgórze: skały już jasno się błyskają,
A promienie słoneczne ziemię rozświecają.
Zarza wzgórze wychodzi różanej piękności,
Na obłokach się broją jasne odmienności.

Gdy już było k wieczoru, słońce zachadzało,
Jasne nazad promienie po górach puszczało.
Ciemność od wschodu słońca ziemię pokrywała,
A mgła szła po górach też się pchnęła.
Obaczywszy miodzieniec, iż już noc przychodził,
A iż każde źwirzątko już na pokój godził,
Przyszedł nad piękną rzeczke, cichuczko płynącą,
Wodę w sobie, by kryształ, nadobną mającą;
Rybki się po niej miewać, na brzegach igrają,
Ziółka, trawkę, robaczki, biegając, chwytają,
Oliwne drzewka wszędy przy brzegach zielone,
Stoją pięknym porządkiem, jako rozsądzone.
Zabawił się, dziwując, aż go ciemność zaszła,
I owa zarza śliczna już mu była zgasała.

Mikołaj Rej (1505 — 1569), twórca naszej literatury narodowej, autor „Postylli”, „Krótkiej rozprawy między trzema osobami: panem, wójtem a plebanem”, „Wizerunku własnego żywota człowieka poczciwego”, „Zwierciadła” i in. utworów, z ziemią lubelską związany był poprzez dobrą, jakże tu posiadał. Jako wiano tony Kosnowy z Sedziszowa „także się też temu było dostać w chętnym ziemi Kobyłskiej imieniu i Siennicy. Tamże w tym imieniu, więcej go potem dostawczy, przemieszkawał i tamże był założony miasteczko niedaleko Chelma przewiekiem Rejowicz... Połem mu był daj Paweł Bystram, brat jego bliźki, bespodobnym będąc dawać wsi, w lubelskiej ziemi: P-pkowie i Skorzycze” — pisał współczesny Rejowi Andrzej Trzeciński. „Jego dobry towarzysz, który wiedział wszystkie sprawy jego”.

Przytoczony tu obrazek wzięty z „Wizerunku” jest pierwszym w naszej poezji artystycznym opisem natury.

Iutowa w Charkowie

WSPOMNIENIE

nie było mi obce: jeszcze z dzieciństwa pamiętałem je z gazet i rozmów rodziców jako należące do „istotnego rusko-o czelowieka”, skrajnego nacjonalisty i polakożercy. Niespodzianką więc było dla mnie, że ten monarchista stał się katalizatorem ruchu, który wkrótce ogarnął całą Rosję i doprowadził do upadku caratu.

Na uniwersytecie normalny tryb życia przewrócony do góry nogami. Nikt nie myślał o wykładach; studenci obok robotników to najbardziej palny element rewolucyjny. Toteż wszędzie w aulach wiewawało, dzielono się wiadomościami nadchodzącymi ze stolicy, nawoływano do czynności. W stołownce akademickiej, miejscu spotykania się studentów różnych zakładów naukowych nie tylko w celach gastronomicznych — tajemnicze narady, czytanie proklamacji. Mówiono o masowych demonstracjach i strajkach w Piotrogradzie, o krwawym tłumieniu pochodów, o walkach ulicznych, o przechodzeniu wojska na stronę robotników a wreszcie o zwycięstwie i powstaniu w stolicy Komitetu Tymczasowego.

To, co się działo w Charkowie, było tylko słabym oddźwiękiem wypadków piotrogrodzkich i moskiewskich. Ale i tak miałem silne prze-

życia kojarzące mi się z nastrojami z lat dziecięcych w 1905 roku.

Nigdy nie zapomnę tej radości, tego podniecenia, które ogarnęło wszystkich w pamiętnych dniach marcowych. Miasto wypełniały tłumy, które wyległy na ulice. Rozpromienione twarze, wesołe okrzyki, uśmiechy rozdarwane nieznanym, wszyscy czuli się zbratani i bliscy. Z prowizorycznych trybun — były to zwykłe stoliki — rozlegały się głosy przegadanych mówców, zmieniających się co chwila, każdy wtedy czuł się trybunem i uważał za swój obowiązek korzystać z wolności słowa i wyzwalając je z knebiłowanych przez władze ust. Przy mównicach gromadziły się grupy słuchaczy, którzy w ten czy inny sposób wtrącaли swoję zgodę czy dezaprobatę. Jedni krzykali: „Przeć z wojną, n.ech żyje pokój bez aneksji i kontrybucji!” Inni sprzeciwiali się: „Wierność socjalistom! Walka do zwycięstwa! Młoda armia demokratyczna przejdzie do ofensywy!” Nacjonalisci ukraińscy domagali się wolnej Ukrainy, anarchiści głosili śmierć pałacom robotniczym. Polacy żądali niepodległej, zjednoczonej Polski, na co k decł odpowiadali im: nie, szeroka autonomia w granicach braterskiej Rosji, socjalizm — a tyle ich było wtedy różnych odłamów — propagowali samostanowienie naro-

dów. Aż w głowie się kręciło młodzieńskiemu studentowi, nie wyrobionemu politycznie, od tych przemówień, od tych hasel. Ale pil pełnymi haustami upajający wiatr wolności.

A po kilku dniach — pochód, niezapomniany, olbrzymi pochód, maki czerwonych sztandarów, całe ich lany, a wśród nich gdzieś żółtoniebieskie — ukraińskie, czarne — anarhistów i nasze białoczerwone. Koledzy z Unii szli razem w szeregu z własnym sztandarem i transparentem na którym widniało słowo Mochnackiego: „Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami”.

Wielkie wrazenie u środowiska polskim uczyniła marcową uchwała Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, która na wniosek bolszewików ogłosiła oficjalny manifest stwierdzający, że „Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowym i międzynarodowym”.

Przebieg rewolucji w Charkowie był spokojny, wszyscy się cieszyli, że była bezkrwawa. Dopiero później zaczęły się różne ekscyzje, w nocy słychać było strzały, nie obeszło się bez ofiar. Nie zauważyłem na tle politycznym — raczej rabunkowym.

KAJ

Tragedia Felińskiego

w Kielcach

RYSZARD PODLEWSKI

TA pseudoklasyczna tragedia Alojzego Felińskiego jest lekturą szkolną i czytana w oryginale na pewno nie zachwyci młodzież pokolenia big-bastowego. Nudzą i nużą zbyt długie tyrady i monologi — choć pisane wierszem, a poza tym jest w fabule sztuki za mało ruchu, nie są dramatycznie niepiętrzy, by zafascynować zarówno czytelnika jak i słuchacza. Przecież prócz ostentacyjnego, tragicznego dla zachowanego króla, odejścia królowej Barbary, może tylko moment przed bitwą z rokoczanami ma jakies elementy z tragedii klasycznej. Gorzej, że tutaj podane jest to w takim zółwim tempie, iż nie ma zaskoczeń i skupienia uwagi. A jednak ciekawe, że w wersji scenicznej — na kieleckich deskach — ma „Barbara Radziwiłłówna” coś, co pozwala przetrwać widzom do końca i przeżyć jako najtrudniejsze momenty. Kiedy to usypia nas wiersz, płynący ze sceny.

Dla każdej publiczności na pewno fascynujący jest problem, który można by określić, jako Casus „Tytułowej”. Przecież młodzież okresu „młodego uderzenia” nadal fascynuje kartki romansu Bismarkówny, a jego egzemplarz osiada w bibliotece kieleckiego „Antykwarium”. Zawrotna cena — sześć złotych — „Trędowata” w odcinkach — nadawana w programie III „Polskiego Radia” jest też znakomitym chwytym, nie tylko artystycznym. Młodzież i dziś oburza niesprawiedliwość dawnych podziałów klasowych, a przecież „Barbara Radziwiłłówna” to także rodzaj „Trędowatej” — tyle, że w sferach najwyższych, królewskich.

Nie zaakceptowana przez Bona, ani Senat może liczyć tylko na swego Augusta, który ją kocha, a przy tym związany jest także słowem, iż jej nie porzuci i tak się składa, że uważa to za swój wielki sukces. August Felińskiego wiele mówi o honorze, ale wyraźnie nie chce podporządkować swego prywatnego życia woli przedstawicieli magnaterii. Nie potrafi zrozumieć argumentów, zagrożonych tym małżeństwem rodów wielmożnych, które zadrosne są do wpływu Radziwiłłów, rodziny młodej, lecz sprzyjnej — idącej po znaczenie w kraju. Stare rudy nie mogą zgodzić się na ten „mezallans”, szermując z kolei argumentami ślepych politycznej i niebezpiecznym obratonymi tronów europejskich.

W sztuce tej pada sporo różnych ładnych i słusznych zdań — od najbardziej wrogich do przyjaznych i ostrych. Jak każdy wypadek bez precedensu — jak króla z niepewnej jeszcze wartości arystokratki budził niepokój. Ale choć raczej to docierała do widza, nie jest on w stanie się nim przejąć. Wina to lekcji his orii, która „uż wszystko określiła i omówiła. Sztuka his oryczna z tej przyczyny nigdy nie może dawać wielu emocji.

Co jest w kieleckim przedstawieniu dobre, to unikanie zdecydowanie dwóch kolorów, przejawiających w ukazaniu postaw przeciwników tego sporu o rancie stanu. Nie widać upartego ekspozycjonizmu „dziej Bony” i „słodkiej Barbary”, nie przerysowani są także negatywnie przeciwnicy kroku króla — np. Kmita. Feliński zresztą pragnął napisać sztukę o wielkość Polaków, o szlachetności ich intencji i w jego czasach tego rodzaju tendencje są zrozumiałe, gorąco przyjęte przez współczesnych, a celowane zakazem przez carską cenzurę.

Pewno, że odhiera drisielszy za mało ma w tym dramacie akcentów ludzkiego, swkiego romanu — jest to raczej rzecz oszka, koturnowa, nastrojona na wysoki „C”, a jednak...

Jednak wykonawcom dwóch głównych ról zawiądzamy wrześnie ciepła stosunku Augusta do Barbary; sprawa to sposób ich gry, wybierający właśnie środki, podkreślające, że jest to dramat nie Państwa, ale ich własny, osobisty. August kocha Barbare, ale szanuje i chyba kocha jednak jeszcze matkę — Bonę. Nie pozwala sobie na żaden gest lekceważenia w stosunku do niej. Ten sposób gry pogłębia znacznie sprawę i chwilami możemy się wahać, czy August nie ugnie się pod ciężarem mocnych argumentów matki. Zygmunta Wiadernego jest wręcz zrosnięty z rolą mło-

dego władcy. Ta trudna, bo rysowana tylko szlachetnym słowem rola — w jego interpretacji nabrała miękkości, zbliża nas do człowieka na tronie. (Tego żąda chyba widz, po doświadczeniach współczesnych „dramatów tronowych” w rodzaju „szacha I anu i Kennedy’ego?”) Zygmunta — Zygmunta Wiadernego ma więc urok osobisty, szlachetny głos i postawę, po prostu był to jeden z najszcześliwszych wypadków obsadzenia aktora w sztuce, a to samo można powiedzieć o Elżbiecie Cegielskiej. Ta para doświadczonych już aktorów bardzo dobrze, czytelnie i nowocześnie mówi wiersz, unika papierowości wypowiedzi, nadaje suchemu tekstowi Felińskiego właściwą ludzką barwę. Zygmunta Wiaderny ma kilka momentów wręcz znakomych — a do nich należy zakreślenie trzeciego aktu, albo rozprawa z Kmitą, zaś Elżbieta Cegielska w buście sceny, przedstawiającej komnatę zamku krakowskiego — zachowuje się jak dziewczyna w normalnym kameralnym w wymiarach pokoiku. Jej ruchy pozbawione są klasycznej hieratyczności, są miśkie i kobiece, potrafi w chwili rozpaczy zamiast na fotelu, przewlekać na stopniach tronu, nie robiąc sobie z dostojności towarzysztwa.

Już nieraz stwierdzaliśmy, że przedstawienie, które przeszło przez jedną z dwu scen tego teatru, a potem przez drugą próbe przedstawień w terenie — oglądane dopiero na ulicznej scenie, zmienia się bardzo i to przeważnie na korzyść. Jest to z pewnością cecha tego teatru, mającego zbyt mało czasu na dokładne przygotowanie spektaklu, który „dłuzszą” się dopiero zaczął poznaję. Sąd chyba „Barbara” oglądana w Kielcach różni się od tej przemianowej w Radomiu. Na te aktorów o bardzo miętymy dykcji i słabych głosach, które nie mogą udźwignąć powagi swych historycznych prototypów, a swoje partie bardzo dobrze jeździ dwójce czonków tego zespołu — a są to: Maria Kubicka w roli Bony i Zbigniew Plato kreujący Boratyńskiego. Bona Kubickiej nie sili się na demonizm woskiej intrygantki, jest spokojna i opanowana, potrafi być w odpowiednich momentach matką, karcącą niesfornego syna. Kubicka nadała sobie tutaj nieco tom Lichlerówny — czuje ucho wywołuje tę zależność po paru zdaniach, ale brzmie to chyba zupełnie dobrze, nie jest parodia, lecz wykorzystaniem pewnego stylu mówienia tego klasycznego już i skosinaliego tekstu.

Zbigniew Plato ma do roli Boratyńskiego świetnie postawiony głos. Jego przemówienia są wyjątkowo, słucha się tego z prawdziwym zażęciem. Dobry w postawie i kostiumie, oszczędny w mimice i gestach, przekonywa nas jako świątobliwy i szlachetniejszy członek magnackiego stanu.

Reżyser zespołu, starannie ustrana przez scenografa Marię Gosyrską, raz ziała jednak, niestety, sztuczności interpretacji i mimo pełnego wysilenia stron głosowych nie potrafił dotrzeć słowem do wszystkich widzów. Były momenty, które budziły wręcz niezaplanowaną wesołość widowni.

Scenografia — oszczędna, ale stylowa dawała wrażenie komnaty ramkowej, dzięki stylizacji tła na rodzaj kopii gobelinu zygmuntońskiego orientowała widza dokładnie w epokę, ukarując przy tym potęgę władcy kraju, który się liczył w Europie.

Reżyser Bohdan Czechak dał przedstawieniu, które pozwala łatwiej przyswoić sobie tę niechętnie czytana lekturę szkolną — pod postacią baśni o dobrym i szlachetnym królu, jego miłej małżonce i reszcie przeciwdziałających się ich szcześciu dworzan i welmów. Bo jednak w ostatecznym wydzwieku, mimo historyczności wszystkich postaci dramatu, jest to dla nas już tylko belerowa rymowana baśń dla dzieci i młodzieży, na której wszakże niewiele tracą także dorośli.

Teatr im. St. Zeromskiego w Kielcach — „Barbara Radziwiłłówna” A. Felińskiego, Reż. B. Czechak, Scenografia: M. Gosyrski.

książki • książki • książki

Budowniczy wieży Babel

WIZJA mondo cane jest statyczna, ukazać ją można jedynie przez egzemplifikację poszczególnych zjawisk, z których każde jest w analogicznym stadium rozkładu, krok dalej prowadzi do unicestwienia. Metafora zółwi, która organizuje ostatnią książkę Kabaćca jest również statyczna. Bowiem nawet gdyby szalonym po kleśce zółwiom udało się wrócić do wody, gdyby przestali się dobrowolnie zakopywać w piachu pustyni, nie zmienili w niczym ich przynależności gatunkowej, ich zdolności postrzegania. Książka o ludziach — zółwiach stanowiłaby więc jedno więcej świadectwo zmuszającego światła, gdyby nie była równocześnie oskarżeniem, szycerzym wyzwaniem do walki. Wyzwaniem na miarę romantycznego buntu:

„Włec podejmuję się tego szaleńczego oskarżenia. O zejście z góry Synaj, o śmiertelne splazczenie się wśród suchych traw.

Oskarżam was się o zaniechanie pasowania się z Bogiem Generalnym (...)

oskarżam was się o składanie hołdu cudzym bogom

o przedwczesne znużenie o zgrubienie skóry o lęk czynienia o starzenie się

o pamięć bolesnych doświadczeń i o zdradę młodości

Oskarżam was się o najgorzse. (...) O puste słowa”. (s. 11-12)

Plan społeczny książki Kabaćca ma posmak skandaliczny. Rzecz jest bowiem o młodym środowisku artystycznym, ściślej literackim, Posypia

się zapewne z okazji tej pozycji uwagi typu: książka z kluczem, świetna znajomość realiów itp., nie to jednak wydaje się ważne. „Zółwie” są bowiem — jak już powiedziano — nie d monstacją, ale dowodem sporu, bardzo bolesnego i uczciwego sporu, w którym z góry poznaje się smak porażki, ale nie porzucą się walki.

Istnieją w tej książce trzy aspekty narratorskie: komentatora, Pawła Dunina oraz bohatera przygody w K. Plany narracji nakładają się na siebie, przeplatają — zgodnie z przemianami czasu, które zarazem wyznaczają odrębność narratorskich postaw. Konstrukcja „Zółwi” oparta została na pomyśle notałek pochodzących od poszczególnych narratorów, a zaopatrzonych odmiennymi datami. Wtręty komentatora rozbijają wielokrotnie czas wydarzeń Pawła. Dopiero jednak w trzeciej części pojawia się sygnały „obecnie”, „znacznie później” poświadczające zasadniczą tożsamość narratorów.

Paweł Dunin, krzepki chłopak z Zagłębia, który przyjeżdża do stolicy uczyć się rzemiosła piarskiego i któremu tamtejsze środowisko „zółwi” literackich brzydnie po paru miesiącach, wraca do swojej pracy, do dziewczyny, która nań czekała. Komentator „znacznie później” akceptuje ten banalny finał, ponieważ właściwie żaden finał nie w tym wypadku nie rozwiązuje, a powrót Pawła zatwierdza jednak nikłą nadzieję, że gdzieś tam ocalić można własną twarz nie przybierając z konieczności barwy ochronnej. Paweł, który nie zaczął jeszcze należeć do owego rzekomo wyższego świata, który zamiast kształtować wartości,

sprzedaje ich pozory, kokietuje pozorami; otóż Paweł ma szanse powrotu, ale nie ma szans walki. Brakuje mu argumentów, zdaje się śmieszny i niedojrzały w ewenialnym otoczeniu wśród „złotych ludzi, którzy zupełnie nie wiedzą czego chcą” i którzy kupeżą ideami nie przez siebie wywalczonymi. Toż właśnie Pawłowi przypisano czas prawdopodobieństwa, w który może się zanurzyć, podobnie jak bohater przygody w K. w swojej młodości. Na walkę wszakże zdobyć się można „znacznie później”, gdy przyjdzie oskarżać was się, gdy we własne piersi dźwiga się martwego, przegniłego gołębia, gdy budzi protest świadomości padliny obok.

Proponowane rozstrzygnięcie jest dowodem konfliktu niemożności; wszak bunt i rozpacz zdeterminowane zostały tutaj od początku. Z drugiej strony jednak niedwuznaczne jest rozstrzygnięcie konfliktu moralnego: odpowiedziałność za własną postawę, bezwzględnej uczciwości. Powrót Pawła Dunina niewiele znaczy dla budowniczych wieży Babel, znaczy dopiero żarliwy protest Komentara o zagluszający dotychczasowy bełkot.

Niewiele wydanych ostatnio książek w tym stopniu co „Zółwie”. Kabaćca prowokuje do dyskusji. Niewiele demonstuje równie rzetelną warsztat piarski, równie zdecydowaną postawę ideową. Wprawdzie w strukturze językowej jeszcze niekiedy trzymuje banał, wprawdzie dydaktyzm niektórych fragmentów nie zawsze jest funkcjonalny i niepotrzebnie zaciera tok dialogu z rzeczywistością, ale jest to niewątpliwie w dotychczasowym dorobku Kabaćca pozycja najdojrzalsza.

Maria Józefacka
Eugeniusz Kabac, Zółwie; Iskry, Warszawa 1966, ss. 126.

„W kręgu Mikołaja Kopernika”

ROLA Warmil w procesie jednoczenia Pomorza z Polską w okresie od zakończenia wojny trzydziestoletniej do hołdu pruskiego w 1525 r. nie do czekała się w naszej historiografii pełnego naświetlenia. Pewna liczba studiów szczegółowych i prac o charakterze przyczynkowym nie wyczerpuje bowiem złożonego i niezwykle ciekawego zagadnienia. Fascynująca postać Mikołaja Kopernika, astronoma, lekarza, kartografa, inżyniera, pisarza i autora traktatów ekonomicznych, który przez kilka lat pełnił urząd kanclerza kapituły fromborskiej, a po śmierci biskupa warmińskiego Fabiana Łuzjańskiego został wybrany administratorem diecezji, koncentrowała uwagę polskich historyków.

Równorzędna przyczyna słabszego zainteresowania wspomnianym okresem był fakt, że przedłużał on niejako nader istotny dla Polski proces jednoczenia państwa w wiekach XIII-XV. „A przecież — stwierdza Henryk Zins — wraz z pokolem toruńskim z r. 1466 zagadnienie jednoczenia się Pomorza z Polską nie zostało definitywnie zakończone, a poddanie się Prus Polsce w r. 1454 i w oia 13-lutnia 1454-1466, politycznie i formalnie przywracając Rzeczypospolitej władztwo nad Pomorzem Wschodnim, nie oznaczają jeszcze bynajmniej zespolenia i szerokiego rozlania się wpływów polskich na tym terenie”.

Stan badań nad historią Warmil nie zawiera więc do dziś obszerniejszej monografii, pomimo że już w r. 1878 E. Sienkiewicz ogłosił pracę o dziejach biskupstwa warmińskiego. Jeśli pomini-

my znakomite zresztą prace L. A. Birkenmajera (dotyczące postaci i działalności Kopernika), czy studia T. Polkowskiego i A. Prochaski — to za jedyne nowsze i szersze dzieła historyczne przyjdzie nam uznać studium B. Lesnodorskiego „Dominium warmińskie (1243-1569)”. Trzeba jednak podkreślić, że uczyony ten omówił przede wszystkim zagadnienia polityczno-prawne stosunku Warmil do Polski. Badania prowadzone w dwudziestolecie powojennym przyniosły efekty przyczynkarskie, zarysowe lub popularne.

Opublikowana niedawno przez Wydawnictwo Lubelskie książka Henryka Zinsa „W kręgu Mikołaja Kopernika” także nie rości pretensji do monografii czy syntezy, co zresztą autor zaznacza we wstępie. Zawiera ona studia ogłoszone wcześniej w różnych, dość trudno dostępnych periodykach naukowych; całość uzupełnia nowy szkic na konferensyjny temat święceń kapłańskich Kopernika.

Poza tym ostatnim, pozostałe studia rozpatrują głównie problematykę tła historycznego i środowiska społecznego wielkiego odkrywcy. Pośrednio pozwala to prześledzić rozumienie motywacji niektórych decyzji Kopernika, jednaki determinowanej określono sytuacją polityczną i społeczną. Równocześnie książka Zinsa naświetla te momenty, które zadecydowały o kierunku rozwoju sytuacji politycznej Warmil końca XV i początku XVI w., znajdując finał w przełamaniu separatyzmu dominium i związaniu go z Koroną; wraz z wyborem Jana Daniyszka na biskupa warmińskiego w r. 1537, te wysoka godność sprawować będą aż do rozbiórów Polacy — humanści, tej miary, co np. Stanisław Hozjusz, Marcin Kromer, Ignacy Krasiecki.

Wybór szkiców, za którym stoi określona postawa naukowa, jest więc jedną z zalet tej książki, ukazującej jak pozornie odległe zawiśka wzajemnie się warunkują. Zagadnienie stała dworu polskiego o uzyskanie wpływu na obsadę biskupstwa warmińskiego na przełomie XV i XVI w., w kontekście polityki

zjednoczeniowej, pozostaje w ścisłej relacji z rozwojem ruchów reformacyjnych, które przyniosły im, in. rewolucję w Eblagu w r. 1525, a przedstawienie struktury „Kapituły warmińskiej” w czasach Mikołaja Kopernika” i sylwetki kanoników fromborskich w latach 1513-1537 wyjaśnia znaczenie i wpływ instytucji i ludzi na bieg historii Warmil, podobnie jak „Nieznanny testament biskupa warmińskiego Maurycego Ferbera”.

Praca Zinsa posiada przy tym inne zalety. Bogato udokumentowane, ze wskazaniem źródeł studia, obiektywne i wszechstronne tok rozumowania oraz szereg nowych faktów przekonywająco interpretowanych — zainteresują na pewno badaczy okresu. Oto np. w zakończeniu szkicu o dyskusyjnej sprawie święceń kapłańskich Kopernika, Zins pisze: „W świetle całego rozpatrzonego wyżej materiału należy, jak nam się zdaje, przyjąć następującą konkluzję: dopóki nie znajdzie się świadectwo źródłowe, poświadczające, że Kopernik był księdzem, za całkowicie bezpodstawne należy uznać twierdzenie, iż astronom nasz miał święcenia kapłańskie. Jak dotąd nie posiadamy ani jednego takiego źródłowego dowodu, a ten, na którym twierdzenie przeciwne, opiera się zwykłym błędem paleograficznym”.

Nowa książka Henryka Zinsa — profesora i kierownika Katedry Historii Powszechnej Środkowoczesnej UMCS w Lublinie, specjalisty w dziedzinie historii Warmil oraz Anglii, zainteresowanego głównie problematyką ruchów społecznych i reformacji — powinna znaleźć się także w rękach zwykłego czytelnika. Oprócz wagi poruszonych w niej zagadnień, ciekawością na pewno nie znane szerzej fakty, a jasny i potoczny sposób pisania ułatwi przyswojenie treści.

W. J.
Henryk Zins, W kręgu Mikołaja Kopernika, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1966.

Język ojczysty

CHCAC pisać o kulturze języka, trzeba, oczywiście, najpierw określić, co znaczy ten termin. Nie chodzi tu o jakąś ściśle naukową definicję, lecz o wyjaśnienie praktyczne, umowne. Dobrze się nada do tego celu jedno z wyjaśnień hasła „kultura” w „Słowniku języka polskiego” PAN: „stopień doskonałości, sprawności w opanowaniu, znawstwie jakiejś specjalności, umiejętności itp”. A zatem przez kulturę języka będziemy rozumieć sprawność we władaniu nim w słowie i piśmie, a przez pracę nad nią zabiegi zmierzające do osiągnięcia umiejętności poprawne-

go pod każdym względem formułowania własnych wypowiedzi i oceny cudzych.

Podejmując jakies działania zastanawiamy się zwykle nad jego użytecznością i przydatnością. Nie od rzeczy więc będzie zapytać, jaki pożytek — nie licząc osobistej satysfakcji — przynosi praca nad wyrobieniem poprawności językowej lub podniesieniem jej poziomu. Odpowiedź na to pytanie wymaga uprzedniego zorientowania się w tym, jakie są funkcje języka w życiu poszczególnych jednostek i całych społeczeństw. Wyrażając się prościej: do czego język nam służy, jakie nasze potrzeby zaspokaja.

Służy przede wszystkim do wzajemnego porozumiewania się ludzi z sobą, przekazywania sobie przez nich różnego rodzaju informacji. To, co człowiek postrzeza, co odczuwa, o czym myśli, byłoby niemożliwe do zakomunikowania innym ludziom bez posługiwania się językiem. Istnieją wprawdzie inne środki porozumiewawcze, takie jak gesty i rozmaite sygnały (znaki drogowe, sygnalizacja świetlna i akustyczna w ruchu ulicznym, semaforowa w żegludzie itp.), jednakże zakres przekazywanych przez nie informacji jest bardzo szczyplwy, mogą więc odgrywać w porozumiewaniu się ludzi między sobą tylko rolę pomocniczą.

Tym samym język jest zjawiskiem społecznym ogromnej wagi. Bez możliwości wzajemnego porozumiewania się nie byłoby przecież możliwe jakiegokolwiek zorganizowane wspólne działan-

nie, nie mogłoby istnieć życie społeczne, nie do pomyślenia byłoby postęp społeczny.

Słusznie więc uczeni uważają pojawienie się języka za jeden z głównych czynników sprawczych w procesie uczyłowienia naszych przodków. Ale o tym może innym razem. W tej chwili chodzi mi o podkreślenie zasadniczej roli, jaką odegrał i odgrywa język w opanowywaniu przez człowieka sił przyrody, w rozwoju nauki i techniki, w tworzeniu i upowszechnianiu materialnej i duchowej kultury ludzkości. Był on i jest niewątpliwie jedną z podstawowych sił umożliwiających przebieg wszelkich procesów społecznych.

Język był też i jest narzędziem myślenia. Nie można myśleć nie posługując się słowami. Wszelkie postrzeżenia i przedstawienia dostarczają tylko materiału

do myślenia, a sam proces myślenia wymaga operowania wyrazami, ich dobierania i wiązania w odpowiedni sposób. Im większym więc ktoś dysponuje zasobem słownictwa i im umiejtniej nim się posługuje, tym jaśniej i precyzyjniej myśli. A umiejtność myślenia jest niezbędna przy prawie każdej pracy, jaką człowiek wykonuje. Wynika stąd jasno, że wysiłek wkładany w podnoszenie poziomu kultury języka, w osiąganie jak największej sprawności w posługiwaniu się nim jest wysiłkiem opłacalnym, ułatwiającym sprawne działanie, dobrą robotę.

Wypada z kolei zastanowić się nad tym, na czym polega poprawność językowa i jakie drogi wiodą do jej osiągnięcia. Będzie to przedmiotem naszych dalszych rozważań.

Witold Kochański

Śmierć prezydenta

LOSY wypadła Manchesterowi o śmierci prezydenta Kennedy'ego są następującymi, w jaki sposób redaguje się w naszym kraju najpoważniejsze nawet czasopiśmi. Wydawało się, że opublikowane w USA i NRP fragmenty tego wielkopomnego dzieła przedrukuje zajmujący się takimi rzeczami tygodnik „Forum”, chociażby dla zaspokojenia ciekawości polskiego czytelnika, inne zaś pisma ograniczają się do oceny tej publikacji i wyprowadzają z tego polską opinię, której przez parę miesięcy wprawiano, że Manchester wstrząsnął posiadami całej Ameryki. Stało się akurat odwrotnie. Tygodnik przedrukował „Forum” poinformował zdumionych czytelników, że tym razem nie przedrukuje ani jednego zdania, ponieważ zrobili to już inni, natomiast dwa najpoważniejsze pisma polskie, „Kultura” i „Życie Literackie” zastąpiły „Forum” i rzuciły się na paszety Manchester'a z powagą godniejszą lepszej sprawy.

Just po pierwszym odcinku okazało się, że Manchester bardziej troszczy się o prawdę dotyczącą spraw łódkowych państwa Kenne-

dych, niż kulis zabójstwa prezydenta Kennedy'ego, bardziej go obchodzi sposób, w jaki pani Kennedy likwidowała zauważoną na moment przed przyjeźdem zmarłego na swej twarzy, niż to, w jaki sposób doszło do tragedii w Dallas. A co do nazwiska „Kultur” na poruszenie społeczeństwa amerykańskiego, to wystarczyło przeczytać pierwszy tylko odcinek dzieła Manchester'a, aby się pozbył jakichkolwiek wątpliwości. Czy przeczytał go redaktor, kwalifikujący materiał do druku? Wokół zabójstwa Kennedy'ego powstało wiele niedomówień, wiele sprzecznych faktów, wiele hipotez. Są w USA ludzie, którzy poświęcili cały swój czas wyświeleniu tych sprzeczności. Kalafka Manchester'a nie tylko nie niszczy, ale wprowadza do całej sprawy nowe znaki zapytania. Nie koniec jednak na tym. Może Manchester, mogą tłumaczyć. Nie wiem, w jakim stopniu relacje dwóch naszych tygodników są zgodne z oryginałem. Między sobą różnią się jednak nader często. Oto kilka przykładów: — „KULTURA”: — Gabinet prezydenta działał od znajdującego się wia a Białego Domu, na pierwszym piętrze Kabinetu Office Building gabinetu wiceprezydenta głęboka przepaść... — „ŻYCIE LITERACKIE”: — Głęboka przepaść powstała między gabinetem prezydenta i gabinetem wiceprezydenta, które znajdowały się na pierwszym piętrze Kabinetu Office Building, stojącego na przeciw Białego Domu... — K: (z listu Jacqueline do męża). Brak mi Ciebie bardzo — co z jednej strony jest cudowne, z drugiej jednak smutne... ale wtedy czuję się szczęśliwa, że mi Ciebie brak. — Wiem, że zawsze przesadzam — ale żal mi wszystkich innych samotnych kobiet... — Z. L.: — Bardzo mi Ciebie brak, z jednej strony ma swój powab, z drugiej jednak jest smutne... ale potem myślę, że brak

Ciebie czuję mimo to szczęśliwą — wiem że stale przesadzam — ale żałuję wszystkich, którzy są samotni... — Rozbieżności między tłumaczeniami dała czasem bardzo komieszny efekt. — „Życie Literackie” pisze np.: — O 15.48 Kennedy wraz z resztą znalazł się w samolocie Air Force 1. Wszyscy skapani byli w pocie i pomęczeniu. Każda taka podróż wymaga szczególnego zaangażowania wszystkich sił, a to był dopiero początek. Prezydent wraz z żoną przesiadli się do tej części samolotu, która była ich sypialnią. Ich wspólne życie miało trwać jeszcze prawie cały dzień i to była jej ostatnia pogodna godzina — lot do Houston trwał tylko 45 minut... — „Kultura” fragment ten tłumaczy bardziej obrazowo: — O 15.48 państwo Kennedy wsiadli do samolotu kontynuując podróż do Houston. 45 minut lotu i prezydent świeży „odpraszony” był gotów do dalszych spotkań. — Ostatni, trzeci odcinek daje nie mniejszą satysfakcję uważnemu czytelnikowi. — K: — Pod tytułem „Witamy Państwa Kennedy” postawiono prezydentowi 12 pytań zgola retorycznych... — Z. L.: — Pod złośliwym tytułem „Witamy w Dallas, Państwo Kennedy” poszukiwacze faktów „postawili prezydentowi dwa retoryczne pytania”. — Niezależnie przy tym, czy tytuł był złośliwy, czy nie, oraz czy pytań było 12, czy 2. Obaj tłumacze piszą, iż były retoryczne. Tymczasem niżej dowiadujemy się, że konstrukcja tych pytań była tego rodzaju, że stanowiły one akt oskarżenia Kennedy'ego o szereg przestępstw. Dobra retoryka! — Czytajmy jednak dalej. — K: — Szef prasowy pokazał prezydentowi wzmiankowane już przednio podburzające ogłoszenie w Dallas News. Prezydent u-

ważnie przeczytał i dał żonie, mówiąc: „Teraz więdziemy do kraju szaleńców”. — Z. L.: — Czytał (Kennedy) z ponurą miną, słowo po słowie, potem podał gazetę Jackie. Jej ostry wzrok skierował natychmiast: poczuła się okropnie. Powiedziała z namysłem: — Widzisz, jedziemy dalej do kraju obłąkanych. — K: — Zorganizowali wiele grup dzieci szkolnych, które witały prezydenta powiewając flagami amerykańskimi... — Z. L.: — Grupa dzieci opuściła szkołę, aby powitać swoje bohaterki. — K: — W czasie formowania kolumny samochodów z lotniska do miasta „zapomniano” umieścić w odpowiednim miejscu przybocznego lekarza prezydenta. — Z. L.: — W samochodach należących do kolumny prezydenta nie pomieścił się jego lekarz przyboczy, gdyż nastąpiła dość niegodziwa walka o miejsce; lekarz ostatecznie znalazł miejsce w autobusie dla osób towarzyszących. — I na zakończenie jeszcze jeden przykład. — K: — Nagle do uszu jadących w kolumnie doleciał huk, który przez znajdujących się na rzeczy został natychmiast rozpoznany, jako strzał z karabinu. — Z. L.: — Wtem dał się słyszeć ostry, świszający huk. Myślni znajdującej się w kolumnie od razu rozpoznał ów dźwięk: strzał karabinowy... — Nie ma miejsca na przytoczenie wszystkich fragmentów rozbieżności, jakie zaprezentowali tłumacze „Kultur” i „Życie Literackiego”. Jakże szczęście, że tylko dwa pisma przedrukowały relację Manchester'a. Gdyby stało się inaczej, to równoległe do amerykańskiej, powstałaby całkiem inna rodzima, polska wersja śmierci prezydenta, równie jak amerykańska zamawiana i pełna sprzeczności. Polacy nie gęsi...

Z cyklu „Moje deklamacje”

Alfa

MIEWAM bardzo różne sny. Kolorowe i czarne, lekkie nawet rozmyślania o tym, czym jest sen. Wybudzenie, czuwanie, czy jego uspokojenie? Co ważniejsze? Czy to, że tworzy, czy to, że uszczelnia? Czy to, że nie czuje, czy to, że nie czuje, czy to, że nie czuje? — Sen jest po prostu tylko zemsta nadmiernie wybudzonej materii. Ale to wstęp niepotrzebny, bo ostatni mój sen był zupełnie naturalny. Jedni to w ogóle nie wiedzą: inna mi się śniła dziewczyna. Miała na imię Alfa. Kiedyś się z nią rozmawiałem. Usłyszała się zwykła pora wstawać, podać mi jeszcze numer swojego telefonu: 17-03-91-14-45. Nieco przydługi, ale zapamiętałem. I mając już za sobą gołonie, ubieranie oraz filiżankę porannej kawy — dla zabawy, choć z pewnym mozołem, wykręciłem ten numer. Usłyszałem nieco metaliczny głos: — Słucham, tu Alfa. — A to ja — odrzekłem. — Domyślam się, że stanowi pan jakąś osobowość, całkowicie jednak mi nie znana. — Przepszczam, zaraz wyjaśnię. Przed godziną śniła mi się pani i podała mi ten numer telefonu. — Możliwe — odrzekła chłodno — ale pan mi się nie śni. Widzę pana pierwszy raz w życiu. — Pani mnie widzi? Jak? — Na ekranie. Całkiem wyraźnie widzę pana niemądrego młodego. Zupnie jakby pan był z dwudziestego wieku. — Owszem — powiedziałam z dumą. — Druga połowa. Władam mamy rok 1987. — Rok 2001 — sprostowała. — Zamyśliłem się. — Głupia historia. Dzieli nas sto lat. A tak bardzo chciałbym się z panią spotkać. — Za kwadrans możemy się spotkać w Paryżu. — Za kwadrans? — Wcześniej nie zdąży, przecież to tysiąc kilometrów. — Bez pismennego zaproszenia nie mogę — powiedziałem. Nie zrozumiała. — Jaka twarz mam wziąć ze sobą? Zresztą sama zdecydowała. — W każdym razie niech pani weźmie ze sobą serce — powiedziałem. — Przecież wyszło już z użycia więcej niż sto lat temu! Zdecydowałem. — Lepiej niech pan przyjdzie do mnie. — Dobrze. Gdzie mam przyjechać? — Jakby to powiedzieć? Z powrotem. — Czy tam się jedzie? — Czym tu się jedzie? Najlepiej samochodem. Jest teraz zima. Tylko niech się pan dobrze otuli. Jest bardzo zimno. — Nie wiem, co to znaczy zimno. — Aha — domyśliłem się. — Ma pani wmontowany termostat. A śnieg? — Śnieg? — No tak... ubelone ploty... oszronione druty... małe domki podparte szkarpanami zasp... — Rozumiała się. Zapytałem dlaczego. — Bo ostatecznie nam wszystkim wmontowano też zmysł humoru. — Więc jednak nie możemy się spotkać — stwierdziłem. — A tak bardzo chciałem pojechać gdzieś razem, na kulg, za miasto, gdzie w biały horizont. — I zacząłem mówić ten wiersz Jesienina: — Słyszysz, pedza sanie, sanie pedza w głuszy — Dobrze się z kochaną w polu zawieruszy... — Przechwile milczała. Potem usłyszałem jej inny głos: — Nieśmiało, wstydyliwie, gna wietrzyk ochoczy — Po nagiej równinie dzwoneczek się toczy — Powiedziałem: — Nie wiem, mrok to czy światło wszędzie — Wiatr w zarosłach czy pieczy kogut? — Alfa powiedziała: — Może zamiast zimy labędzie — Na dalekim śladu rozłog? — Jaka piękna tych równin białość! — Krew rozgrzała się lekkiem mrozem. — Jakby teraz przylucili się chciało... — No i w ten sposób po raz drugi spotkałem się z Alfa.

BAR

— Nie ma miejsca na przytoczenie wszystkich fragmentów rozbieżności, jakie zaprezentowali tłumacze „Kultur” i „Życie Literackiego”. Jakże szczęście, że tylko dwa pisma przedrukowały relację Manchester'a. Gdyby stało się inaczej, to równoległe do amerykańskiej, powstałaby całkiem inna rodzima, polska wersja śmierci prezydenta, równie jak amerykańska zamawiana i pełna sprzeczności. Polacy nie gęsi...

Big-Beat

Moje? Państwowe!

PANIE Redaktorze! Oglądałem Jesienina pierwszorzędny obiekt turystyczny, który niedawno temu myśmy sobie oddali. Obejrzałem go dokładnie, gdyż z braku miejsc odmówiono mi tam noclegu. Zastanawiam się, czy obiektem, który przyszedł się po obiekcie osobnicy pici obojętne, przydzielani są jak na turystów dzwinię — w ciemne garnitury i wiasytowe suknie. Nie wyglądali mi tak na ludzi, którzy chodzą z plecakami — a już z pewnością mnoga — była herbata wólg i warszaw, ustawionych na parkingu. Kierownicy obiektu wyjaśniali mi, że obiekt tur-

styczny, który myśmy sobie zbudowali, zajęty jest na naradę i że, gdy jedna się zakończy, natychmiast rozpocznie się inna. Dalej zycieliwi dla turystów kierownicy obiektu poinformowali mnie, że turyści po prostu są nierentowni, toteż egzystencja obiektu uzależniona jest od kurtozji i narad, których — na szczęście dla statystyki turystycznej — u nas nie brakuje. Ceny pokoi i posiłków — choć pękły jakiegoś niebotycznego poziomu nie są kasadnia — mogłyby mieć znaczenie dla turystów, dla kurso-konferencjalistów nie mają. Kiesznie ta — państwowa!

Przeczyta te słowa jeden z moich przyjaciół (strzeż nas, Boże, od przyjaciół, od wrogów obroniemy się sami) i wykrzyknął: „Eureka, Jacek dokonał plagiatu!” — I do tego miejsca będzie miał stuprocentową rację. Dalej już nie. Bo sam się przypomniał, że ten pierwszy akapit przysłałem z „Prawa i Życia”, a tym, który wspomniany obiekt turystyczny oglądał, był Aleksander Rowiński, reportażysta, felietonista.

Wólg, warszaw, kiesznie nie ta, państwowa... Wielu osobom wydaje się, że ta kiesznie państwowa nie ma dna, że można z niej czerpać skolko угодно sięgając doń lewą ręką...

Oto kierownik dość poważnej instytucji. Jedzie służbową warszawą do stolicy. Wraca, wypelnia delegację. Pociąg pośpieszny pierwszej klasy: 193 złote 29 groszy (z 50 proc. zniżką). Kierownik zapomina jednak o drobiazgu, o karcie drogowej. Intelligentny kontroler łatwo sprawdził daty. Protokół pokontrolny będzie interesującym dokumentem nie tylko natury obyczajowej.

Oto osoba na eksponowanym stanowisku. Również jedzie do Warszawy. Po powrocie przedstawia rozliczenie delegacji. Podróż w obie strony 266 złotych 60 groszy. Osoba na eksponowanym stanowisku zapomina jednak o drobiazgu: o posiadaniu legitymacji, która uprawnia ją do nabycia biletu kolejowego z 50 proc. zniżką. Intelligentny kontroler bez trudu zwrócił uwagę na to — użycie tego sformułowania — nadużycie finansowe. Powstaje jeszcze jeden dokument, nie tylko natury obyczajowej.

Oto dyrektor ogólnie szanowany. Jedzie na urlop. Z żoną nie z kociakiem. Można powiedzieć kryształ. Nie powiem jednak. Pan dyrektor jedzie na ten urlop służbową warszawą i nawet mu na myśl nie przyjdzie, aby zwrócić za benzynę. Intelligentny kontroler i tutaj nie będzie miał trudności z rozszyfrowaniem dat: porównania karty drogowej i karty urlo-

powej pana dyrektora. I many kolejny dokument... — Ostatnio „Polityka” pisała o pewnym prelegencie, który po wygłoszeniu odczytu na temat szkodliwości alkoholu poszedł do knajpy i solidnie popił. Później tłumaczył się, że w ten sposób pragnął plastycznie przedstawić, jak ohydnie wygląda... pijak. — Stanowczo wólg tego prelegenta, który odczyt jednak wygłosił, a i od tych, którzy tylko stemplują delegację, dopisując godziny. Chciał... kto wie, może on spełniający dobry uczynek, bo przynajmniej nie nudzą słuchaczy, pozwalając im spędzić czas bardziej produktywnie wykorzystaniu służbowych samochodów na wyjazd, np. z odczytu, za który pobiera się pieniądze, już nie wspomnę. Ostatecznie nie moja sprawa. Racerzy pracowników, którzy służbowo dratują na piechotę. — Wszystko to drobiazgi. Panie Redaktorze! Pojedyncze wypadki na pewno nie byłyby groźne, ale gdyby tak z ołówkiem w rękę nasi statystycy mogli policzyć, pomnożyć, pododawać... Brr, zimno. Wieje od okna? Nie, po prostu wyważyłem otwarte drzwi. Obawiam się, że jeszcze długo będzie wiało. Ale może wreszcie kogós solidnie przewieje. W tym szlachetnym celu warto dopomóc!

Jacek

„Kurier” to jednak dziennik, stąd pośpiech, stąd dostrzeżenie tylko gruba kreską wymowlowane nazwiska autorów obrazów, a reszta to już sama przychodzi: „lepszy” Picasso pod strzechy sam zabłądził. — Chwilami wydaje mi się, Jacku, że ów sierzant — doradca powinien podrzucić do kierowego chlebaka książkę — telefoniczną. Co? Nie zmielił się? Zmiecił, przecież granatów już tam dawno nie ma. A pytasz, po co książka telefoniczna? Widzisz, w dobie nuklearnej podstawowa rzecz jest łączność, informacja. Bez niej ani rusz! Bez niej coraz częściej swawolnego Dyzia będą zastępowali swawolni sierzanci. I przewiduję tu urodzaj. Ot, przykład: „Kurier” z 26 stycznia br. Notatka: „Dom Kultury w Dubecznie”. Piższe się tu laskawie, że jest to jeden z sześciu domów kultury, które wznosi się w hr., wszystkie je wznosi się ze środków SPBSiI. Czy aż tyle, czy tak i tak ma to? Wszystko dla „Kuriera” jedno. I komu tu dziekować? I za co? Coś w tym chlebaku nawaliło. — Ale nie martw się, Jacku. Zmarzenia pozostaw dorosłym. Ty pisz. Tak powiedział mój znajomy starszy sierzant. Mogę go poznać (jeśli się nie zna) z sierzantem — znajomym red. Gnota. Niech sobie podyskutują o big-bie, trzech groszach i umiejętnym wykorzystaniu chlebaka. — (Nazwisko i adres autora znane redakcji).

BAR

— Nie ma miejsca na przytoczenie wszystkich fragmentów rozbieżności, jakie zaprezentowali tłumacze „Kultur” i „Życie Literackiego”. Jakże szczęście, że tylko dwa pisma przedrukowały relację Manchester'a. Gdyby stało się inaczej, to równoległe do amerykańskiej, powstałaby całkiem inna rodzima, polska wersja śmierci prezydenta, równie jak amerykańska zamawiana i pełna sprzeczności. Polacy nie gęsi...

List do Jacka

PODPADES, Jacku. A mówilem... Został nazwany swawolnym Dyziem i w ogóle oberwał Ci się. Redaktor Lesław Gnot (vide: „Kurier Lubelski” z 5 bm.) działa stybko, jak przystało na pismo codzienne. Ale nie martw się. Sierzanci dzisiaj, w nowoczesnej armii, nie są już tak mądri, wychodzą z użycia chlebaki, nie nosi się też w nich granatów, ale — jak informował mnie ostatnio znajomy starszy sierzant — parę recept na zdrowy rozsądek. I to wszystko. Nie więcej. A z tym kierownikom chlebakiem nieco gorzej. Muszą w nim mieć oprócz granatów — niewpółno nieprzejętą nieporządceczką, a i ciekawą granatami wykazują skądinąd znaną dezorientację w rozpoznaniu nieprzyjaciela: od czasu do czasu razią przyjaciół. A to boli. I nie najlepiej świadczą o sposobach walki. Widąc — zako-

lenie nawalilo. W zwykłym wojsku taki wojak dostalby kilka dni ścisłego. A tu? Toleruje się. Dlaczego? Może to pospolite ruszenie? A może chodzi o podtrzymanie nie tyle szczytów, co niechlubnych tradycji oręza dziennikarskiego? Zapewne ta tradycja serwuje niewypaly.

W konkretnym wypadku, za który cierpiasz, za namową sierzanta sięgnięto do chlebaka. I co? Myślisz, że wyciągnięto granat? Ależ skąd! Kaczkę. Nie taką zwykłą, ale — jak wy to nazywacie — dziennikarską. Co dalej? Sam dowcip stał się znalazł się miłośnicie amator kaczk. Ale już w tym miejscu dowieć się kończy. Amator ów to zwykły człowiek, petent, którego nabrano. Przeszedł z „Kurierem” w rękę i żądał do 20 czy 60 tysięcy złotych. Oczywiście nie dostał. Nie mógł dostać.

Jacuniu, gdybyś wystawił np. Redaktorowi czek na obładek do „Europy” i zaklinał się, że zapłaci za Cię sam szef kuchni, nie miałbyś pretensji do szefa, że ten załatwił Cię odmownie? Nie? No to spadił mi kamień z serca. Ja też myślę, że to byłoby proste „wrabianie” szefa. Teraz już rozumiesz? Zarty kosztują, zwłaszcza jak się podejmuje zobowiązania finansowe w cudzym imieniu, bez — czego by przeto — woli zainteresowanych. Bo raczej wszyscy działają się. I nie chodzi tu o Wydział Kultury Prez. WRN, ale co począć z petentem, z człowiekiem, który

wierząc sierzantowi, że w chlebaku są granaty — wręcza je felki w Prez. WRN — i prosta, by mu wyplacono i wydym „Kurierem” legitymie się... — Przypasz więc, Jacku, że celność tu mała, a powinna być precyzyj, właśnie w dzienniku, i nie ma racji red. Gnot, że pośpiech wpływa na niecelność (drżenie ręki), pośpiech zobowiązuje do snajperskiego oka. Tak przynajmniej mawia mój znajomy, sierzant, a to żołnierz, który przeszedł zaprawę bojową. Ty już, Jacku, możesz sobie pozwolić na większy rozrzut. Działasz niejako strategicznie i takiej używasz broni, ale dziennik? Tu tylko potyczki i, mówiąc językiem militarnym, wojny taktyczne, więc celność to rzecz podstawowa. — Chlebaku nie ma, Jacku, oni w tym chlebaku nie mają w ogóle granatów! Może to tylko świadczy o tym, że może jeszcze coś innego? Czasami wydaje mi się, że „Kurier” posługuje się szpilką od krawca. Ale nie tak zwyczajnie, by przypięli na przykład motylka. Nie, atakują tygrasy i, wyobraź sobie, weale nie papierowego. No, bo jeśli czytałeś artykuł w „Kurierze” pt. „Wędrowka obrazów” (7 lutego), to zapewne zgodziłaś się ze mną, że autor powinien nie tyle pisać o kulturze „współ”, co przeczytać owo pismo weale nie anonimowego „nadawcy”, właśnie wspak, tj. od końca. Dlaczego od końca? Domyśl się sam. I sadzę, jeśli autor owo pismo przeczytałby, po tym „wspak”, nie wetknąłby szpilki w krawat...

zajrzeć do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. W tomie V na str. 401 przeczyta Pan „KAMENY, Camenae, młot rzymski, bóstwa Italskie, praw dopodobnie pierwotnie bóstwa źródła: w Rzymie był im poświęcony gaj przy portu Capena i źródło, z którego we stanki braty wodę do celów kultowych; od III w. p. n. e. uioisamiane z greckimi miazami”.

A. M. w Przemyslu. Piższe Pani: „Dziaczego Jesteście ta cy świętobliwi? Czy nota Cechowiczem i Majdankiem nie ma świata? Czy ktoś z Redakcji całował kiedyś w Rzymie, bo o innych damskich sprawach nawet nie śmiem wspominać. Wam zdaje się, że naprawdę chciał dalec przynosi”. Nie, proszę Pani, już tak się nam nie zdaje. Do listu dołączają Pani m. in. kilka swoich wierszy. Jeden cytujemy: „Poślakam Ci kropie rosy z drzewa liść dotyk palców i wieszaj nie czy doszły”. Kto jed świętobliwi? A swja drzy jed zamlesimy coś bardzi frwvolnego — otrzymujemy listy z protestami. Czy ma Pani wielki wybór przory?

R. K. w Białej Podlaskiej. Wiersz ma niezły pomysł, znacznie gorzej z realizacją. Trudno nam na podstawie jednego utworu formułować szersze opinie.

J. P. w Krakowie. Należę do Pana frakcji „Na motyla”. Próbować zawsze warto Zachęcamy.

J. J. L. w Żninie. S. K. w Bydgoszczy. S. P. w Kamierzy Wielkiej. J. K. w Krakowie. J. A. w Lublinie. W. G. w Ostrowie Świętokrzyskim, Kamień w Skorzynie. H. J. w Olsztynie. R. S. W. w Chobranach. R. K. w Kemerowie. F. B. w Jeleniej Górze. H. K. w Lublinie. M. Ch. w Lublinie. A. A. K. w Łodzi. J. S. R. w Ropczycach. Z. T. w Zabłotcu. A. S. w Warszawie — nie skrzyszamy.

PRZESTAJEMY SIĘ JUZ DZIWIĆ „proca produkcyjny” książki trwa 2 lata, nieraz więcej. Gwiazdkowy klermasz książkowy w Lublinie odbył się w połowie grudnia 1986 r. Natomiast 33-wierszowa notatka o tym, zamieszczona (dwutygodnik), dotarła do nas 13 lutego 1987 r. W największym numerze.

ZA CO LUDZIE KUPIJĄ sprzęt gospodarstwa domowego? Zdaniem „Trybuny Ludu” z dnia 13 lutego „3 proc. z własnych oszczędności, 14 proc. na raty, a 13 proc. z bieżących dochodów”. A pozostałe 19 proc. kradnie czy co?

Z PRZYJEMNOŚCIĄ KONSTATUJEMY, że nasz częsty współpracownik, Romuald Karas, poszerzył krąg swoich zainteresowań. Nie ograniczając się tylko do uprawianego dotychczas reportażu socjologicznego, już się sztuki fotograficznej. Exempłami: recenzje dwóch wystaw fotograficznych, zamieszczone w „Kurierze Lubelskim” (nr nr 11, 12). Satisfakcję i intelektualną i cennych na ogół refleksji red. Karasia mać jednak taki pasaż: „Ale ta fascynacja (formą — przyp. nasz) już

minęła, choć forma nie pozostała obojętna reporterowi...”. Ze swojej strony wdzięczni jesteśmy za to fotografowi. Bo gdyby do cna zubożeliśmy, odpukać, nie byłoby żadnej formy, a więc i żadnej wystawy. Piższe też R. Karas, że „na fotogramy patrzy się jak na obrazy malarskie”. Fe, nieładnie tak wskazywać palec na korniepek ludzi obiektyw.

No cóż, początki zawsze bywają trudne.

ZEMSKOŚĆ SIĘ Ryszard Lassota na pewny dziennikarce za publikację na łamach „Prawa i Życia”, które kilka lat temu poświęcił m. in. nieco uwagi z powodów prawnych konfliktom z prawem karnym. Zmienił się tak, że opublikował powieść („Zwątpienia i nadzieje”), w której występuje niejaka Flakowska, autorka filietonów sądowych. Książki nie czytałam, ale jak reczy Sielowski w „Kulturze” Flakowska wy Lassoty jest potwornie głupia, brzydka i lekko nieco uwagi z powodów prawnych konfliktom z prawem karnym. Zmienił się tak, że opublikował powieść („Zwątpienia i nadzieje”), w której występuje niejaka Flakowska, autorka filietonów sądowych. Książki nie czytałam, ale jak reczy Sielowski w „Kulturze” Flakowska wy Lassoty jest potwornie głupia, brzydka i lekko

NOTY I notki

W KILKU PISMACH przeczytaliśmy wiadomość (chyba agencyjną) o „wolowych defektoskopach”. Urządzenie to ma zastąpić taksatorów na punktach skupu zwierząt rzeźnych i nieomylnie określić, ile kg mięsa zawiera i nieomylnie na śmierć wół. Jossca trochę, a ten rewelacyjny wynalazek znajduje zastosowanie w wydawnictwach i w redakcjach, aby ustalić, ile wody i ile treści znajduje się w rękopisach. A może —

KRAKOWSKA KAWIARNIA „Literacka” znalazła się na liście lokali, które mają obniżyć na kategorię gastronomiczną. Miejsny nadzorca nie wpłynęło to na obniżenie kategorii literackiej.

JEDEN Z PROFESORÓW lubelskich chciał kupić synkowi balonik. Ponieważ miał tylko banknot 50-złotowy, sprzedawca pobiegł go rozmielić. I już nie wrócił, zostawiając profesora przed bramą parku z brukwami, do której było przeznaczonych 12 baloników po 7 zł.

NOTATKI O TYM, że na rynek rzucano 100 000 płyt z piosenkami Szczepanika, „Głos Zabrze” opatrzył takim fluteryjnym tytułem: „100 tysięcy kormoranów wypuścił Szczepanik”.

POLSKIE TOWARZYSTWO WYDAWCÓW KSIĄZEK zorganizowało kurs szkoleniowy dla osób, zajmujących kierownicze stanowiska w redakcjach wydawnictw. Zgłosiło się 127 osób, zakwalifikowano 65. Ponieważ zaawidowania o ukończeniu kursu (wszystkiego 34 godziny) otrzymały 53 osobę, trudno mówić o wysokich kwalifikacjach pozostałych 74 osób na kierowniczych stanowiskach.

W SZCZECINIE pewnego dnia wybuchła panika. Nadszedł bowiem telegram takiej treści: „Szczecin — Gryf — już przyjeżdża kontrola”. Skrupulatnie na poczta doręczyła teksty wszystkim instytucjom i przedsiębiorstwom, noszącym nazwę „Gryf”: grae lezbowej, hotelowi, restauracji, stożni, spółdzielni, fabryce czepekad, fotografowi, kilku świętelnikom, bazie rybackiej, kapitanom i okrętu wojennego i 3 statków handlowych. A wszystko wakatku braku pomysłowości w naszownictwie.

PRZESTAJEMY SIĘ JUZ DZIWIĆ „proca produkcyjny” książki trwa 2 lata, nieraz więcej. Gwiazdkowy klermasz książkowy w Lublinie odbył się w połowie grudnia 1986 r. Natomiast 33-wierszowa notatka o tym, zamieszczona (dwutygodnik), dotarła do nas 13 lutego 1987 r. W największym numerze.

ZA CO LUDZIE KUPIJĄ sprzęt gospodarstwa domowego? Zdaniem „Trybuny Ludu” z dnia 13 lutego „3 proc. z własnych oszczędności, 14 proc. na raty, a 13 proc. z bieżących dochodów”. A pozostałe 19 proc. kradnie czy co?

Z PRZYJEMNOŚCIĄ KONSTATUJEMY, że nasz częsty współpracownik, Romuald Karas, poszerzył krąg swoich zainteresowań. Nie ograniczając się tylko do uprawianego dotychczas reportażu socjologicznego, już się sztuki fotograficznej. Exempłami: recenzje dwóch wystaw fotograficznych, zamieszczone w „Kurierze Lubelskim” (nr nr 11, 12). Satisfakcję i intelektualną i cennych na ogół refleksji red. Karasia mać jednak taki pasaż: „Ale ta fascynacja (formą — przyp. nasz) już

minęła, choć forma nie pozostała obojętna reporterowi...”. Ze swojej strony wdzięczni jesteśmy za to fotografowi. Bo gdyby do cna zubożeliśmy, odpukać, nie byłoby żadnej formy, a więc i żadnej wystawy. Piższe też R. Karas, że „na fotogramy patrzy się jak na obrazy malarskie”. Fe, nieładnie tak wskazywać palec na korniepek ludzi obiektyw.

No cóż, początki zawsze bywają trudne.

ZEMSKOŚĆ SIĘ Ryszard Lassota na pewny dziennikarce za publikację na łamach „Prawa i Życia”, które kilka lat temu poświęcił m. in. nieco uwagi z powodów prawnych konfliktom z prawem karnym. Zmienił się tak, że opublikował powieść („Zwątpienia i nadzieje”), w której występuje niejaka Flakowska, autorka filietonów sądowych. Książki nie czytałam, ale jak reczy Sielowski w „Kulturze” Flakowska wy Lassoty jest potwornie głupia, brzydka i lekko

PRZESTAJEMY SIĘ JUZ DZIWIĆ „proca produkcyjny” książki trwa 2 lata, nieraz więcej. Gwiazdkowy klermasz książkowy w Lublinie odbył się w połowie grudnia 1986 r. Natomiast 33-wierszowa notatka o tym, zamieszczona (dwutygodnik), dotarła do nas 13 lutego 1987 r. W największym numerze.

ZA CO LUDZIE KUPIJĄ sprzęt gospodarstwa domowego? Zdaniem „Trybuny Ludu” z dnia 13 lutego „3 proc. z własnych oszczędności, 14 proc. na raty, a 13 proc. z bieżących dochodów”. A pozostałe 19 proc. kradnie czy co?

Z PRZYJEMNOŚCIĄ KONSTATUJEMY, że nasz częsty współpracownik, Romuald Karas, poszerzył krąg swoich zainteresowań. Nie ograniczając się tylko do uprawianego dotychczas reportażu socjologicznego, już się sztuki fotograficznej. Exempłami: recenzje dwóch wystaw fotograficznych, zamieszczone w „Kurierze Lubelskim” (nr nr 11, 12). Satisfakcję i intelektualną i cennych na ogół refleksji red. Karasia mać jednak taki pasaż: „Ale ta fascynacja (formą — przyp. nasz) już

minęła, choć forma nie pozostała obojętna reporterowi...”. Ze swojej strony wdzięczni jesteśmy za to fotografowi. Bo gdyby do cna zubożeliśmy, odpukać, nie byłoby żadnej formy, a więc i żadnej wystawy. Piższe też R. Karas, że „na fotogramy patrzy się jak na obrazy malarskie”. Fe, nieładnie tak wskazywać palec na korniepek ludzi obiektyw.

No cóż, początki zawsze bywają trudne.

ZEMSKOŚĆ SIĘ Ryszard Lassota na pewny dziennikarce za publikację na łamach „Prawa i Życia”, które kilka lat temu poświęcił m. in. nieco uwagi z powodów prawnych konfliktom z prawem karnym. Zmienił się tak, że opublikował powieść („Zwątpienia i nadzieje”), w której występuje niejaka Flakowska, autorka filietonów sądowych. Książki nie czytałam, ale jak reczy Sielowski w „Kulturze” Flakowska wy Lassoty jest potwornie głupia, brzydka i lekko